MIECZYSŁAW PAWLIKOWSKI

BACZMAHA



SZKIC POWIEŚCIOWY

illustrował

WŁ. TETMAJER

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Drowi Adamowi Bełcikowskiemu

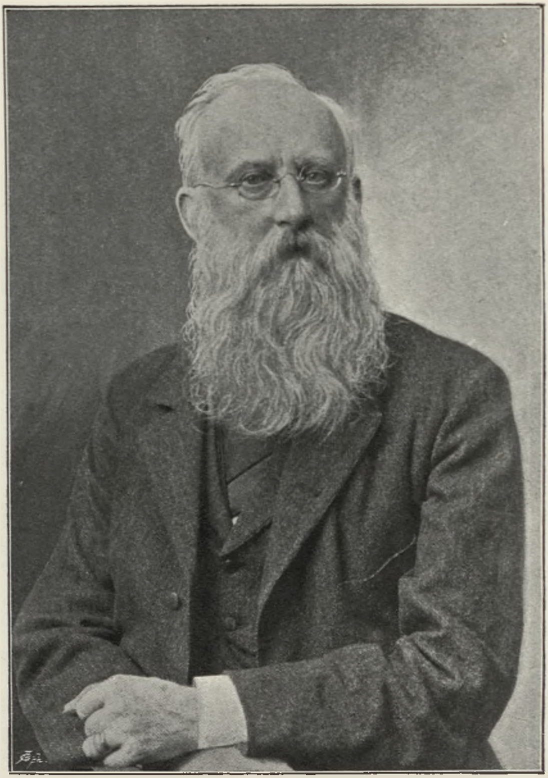
z wyrazem szczerej i wiernej przyjaźni

Autor

Mieczy. Pawlikowski

d. 18 lutego 1898.

BACZMAHA



MIECZYSŁAW PAWLIKOWSKI.

MIECZYSŁAW PAWLIKOWSKI

BACZMAHA

SZKIC POWIEŚCIOWY

ILLUSTROWAŁ

WŁ. TETMAJER

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1898

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Sp.





I.

Łudząc się nadzieją, że może uda nam się znaleźć groty stalaktytowe, podobne do Bialskich, przez kilka tygodni przeszukiwaliśmy całą przestrzeń pomiędzy Kościeliskami, Ornakiem, i Starą Robotą.

W samej rzeczy, grot i jaskiń, jam i »dziur« (jak je nazywają górale) znajduje się tam bez liku; większe i mniejsze, szerokie jak duże izby, ze sklepieniem, czasem jak w gotyckich kościołach ginącem w pomroku, to znów wą-

zkie i niskie, że ledwie pełzając na raczkach się tam prześliźniesz, — a wszystkie po większej części grubo pobielane wysiękiem »kamiennego mleka«, czasem zwieszającego się nad głową w stężałych soplach, — połączone ze sobą węższemi jeszcze korytarzami, czeluściami, kominami, zawalonemi najczęściej w połowie rumowiskiem odpadającego ze sklepień wapienia. Pod tem rumowiskiem, po którem kroczyć lub pełzać wypada turyście, kalecząc sobie nogi i rozdzierając odzienie o ostre kanty odpadłych odłamów skały, dołem dzwoni zwykle szklana harmonika sączącego się między kamieniami źródełka; niekiedy słychać tajemniczy szum i bulkotanie większego strumienia, w którym, dziwnem złudzeniem akustycznem, zawsze się nam wydaje rozpoznawać dwa odmienne, na przemian odzywające się tony, czy akordy, — jeden wyższy, głośniejszy, weselszy, drugi altowy, stłumiony, ponury. O strumieniach tych, które podobnie, jak źródła Dunajca pod »Pisaną« i w »Kalatówkach«, wydobywają się zwykle poniżej na światło dzienne sporą strugą z otworu skały, — cuda opowiadają górale.

Mówią oni, że przedmiot rzucony do tajemniczego źródliska, bulkoczącego w przepaścistej głębi rozpadlin, np. Krzesanicy lub Upłazu, wypłynie czasem w kilka tygodni wywierzyskiem w innej zupełnie stronie Tatr, albo w swych wrotach skalnych się zatrzyma. Nie całkiem temu wierząc, zostawaliśmy niemniej pod urokiem baśni ludowej i zatrzymując się nieraz przed wywierzyskami strumieni, roiliśmy o tem, skąd one płyną i czy trafem nie ujrzym ukazującego się z pod skały jakiego przedmiotu, porwanego ich prądem z jakiej po drodze »zbójnickiej« jaskini lub z zasypanego gruzami mieszkania może praojców naszych epoki kamiennej...

I otóż kto szuka, znachodzi. Pewnego dnia przesuwając się bokiem ściany skalistej nad stromą przepaścią, przekroczyć miałem przez wywierzysko strumyka, wydobywającego się w tem miejscu i spadającego na dół kaskadą; a że kamienie po których stąpałem, były od wodnych porostów oślizłe, z zdwojoną szedłem więc ostrożnością, próbując wprzód nogą stałości każdego kamienia, czy mi się z pod stopy nie wymknie, zanim się na nim stanąć

odważyłem. Tak idąc tuż nad strumieniem, ujrzałem w najpłytszem miejscu kamyk dziwnego kształtu, który zwrócił moją uwagę. Pochyliłem się i podniosłem. Była to, jak mi się wydało, skamieniała kostka. Spojrzałem uważniej na dno strumyka i drugą jeszcze podobną znalazłem. Schowałem obie. Byłem przekonany, że to są wypłukane po tysiącach lat szczątki niedźwiedzia jaskiniowego, hieny jaskiniowej, lub podobnych zwierząt przedpotopowych, i cieszyłem się na myśl o radości, jaką ta zdobycz paleontologiczna sprawi memu znajomemu, uczonemu geologowi, bawiącemu właśnie w Zakopanem. Porwany zapałem, chciałem takich kości znaleźć jeszcze więcej i kilkakrotnie przechodziłem tam i napowrót niebezpieczne miejsce, schylając się i patrząc na dno strumyka. Wreszcie przerwał mi to zajęcie towarzysz mój, który zostawszy w tyle, teraz mnie dopiero dogonił i siadłszy na skraju turni, zaczął wołać nerwowym głosem: »Co robisz! co robisz! czy próbujesz, ile razy ci się uda jeszcze przejść cało nad tą przepaścią? Na rany boskie zaklinam cię! jak mi co dobrego życzysz!« Nie chcąc mu sprawiać przy-

krości, zaprzestałem dalszych poszukiwań, postanawiając innym razem tam jeszcze powrócić.

Podałem mu rękę i przeprowadziłem szczęśliwie przez najcięższe miejsce.



Kości przyniesione przezemnie, wywołały zdziwienie niemałe. Pierwszą z nich uznał mój uczony za kawał szczęki niedźwiedziej — prawdopodobnie niedźwiedzia jaskiniowego. Ale druga! Uczony mój przyglądał się jej bez końca, mierzył, obracał na wszystkie strony, próbował skrobać nożem, oczom swoim wierzyć

nie chciał. Trwało to bardzo długo. Nakoniec jednak widocznie ochłonął i jakby rozczarowany, rzekł lekceważącym tonem głosu:

— *Os cuboideum.*

— Co to znaczy?

— Kość sześcienna ze stopy człowieczej... Leży między kością piętową a czwartym i piątym *metatarsem.* Nie trudna do poznania. Patrz: na wierzchu charakterystyczny *sulcus*, dla ścięgna mięśniowego łydkowego tylnego, a pod spodem wyniosłość skośna dla więzu pięto-sześciennego.

— Może to *homo diluvii testis Scheuchzeri?*

— Nie, nie; nie scheuchzerowskie złudzenie, ale istotnie kość ze szkieletu człowieka, tylko niestety nie przedpotopowca, ani człowieka trzeciorzędnej formacyi. Pomylić się wprawdzie łatwo w tych rzeczach, ale wedle wszelkich oznak, wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, że ta kość nie leżała dłużej jak sto... do stukilkudziesięciu lat najwięcej...

— A więc?

— A cóż? nic. Nic zbyt ciekawego. To kość zapewne wypłukana z jakiej jaskini zbó-

jeckiej, może kostka ze stopy »zbójnika«, albo... ofiary zbójców. A najprawdopodobniej to szczątek ze szkieletu jakiego juhasa, który spadł pnąc się za owcami. A może kłusownik albo turysta... chociaż kłusowników i turystów przed stu kilkudziesięciu laty pewnie jeszcze nie było.

— A więc nie warto było zbierać tych kości na dnie strumyka z niebezpieczeństwem życia? — zapytałem z udaną emfazą.

— Tego nie powiem... szczególniej o niedźwiedziej szczęce... i gdybym w moim wieku mógł jeszcze łazić po górach, pewniebym spędził nie mało czasu na poszukiwaniu w tem miejscu gdzie się te kości znalazły... choćbym miał na rzeczywiste narazić się niebezpieczeństwo.

— A, jeźli tak, to pójdę tam raz jeszcze.

I poszedłem, lecz dopiero w kilka tygodni później, — nieustanna bowiem słota i deszcze ulewne, przez czas dłuższy wybrać mi się niedozwoliły.

Zmówiłem tym razem innego towarzysza wycieczki, żwawego młodziana 20-letniego, śmiałego a wypróbowanego »taternika«, o któ-

rym mogłem być pewnym, że mnie nie zechce powstrzymywać w mniej bezpiecznych miejscach. Poszedł ze mną tem chętniej, że był obecnym przy owej rozmowie mej z geologiem, i zagorzał wielkim zapałem do tych poszukiwań.

Doszedłszy do stóp skały, w której, na wysokości może siedmio lub ośmiopiętrowej kamienicy, znajdowała się owa czeluść z ujściem strumyka, zdziwiony byłem zmianą jaka tam zaszła skutkiem dwutygodniowej ulewy.

Z początku zdawało mi się, że zabłądziłem i że to nie to samo miejsce; po chwili dopiero dokładniejszego przypatrzenia się różnym szczegółom, za pierwszą bytnością dostrzeżonym, doszedłem do przekonania, że to skała odmienny przybrała pozór. Przypisywałem to zrazu zmianie oświetlenia, wiedząc z doświadczenia, że pod jego wpływem okolica górska przeobraża się do niepoznania. — Za pierwszą moją bytnością skały oświetlone były z boku, blaskiem zachodzącego słońca, które głębokiemi, długiemi cieniami uwydatniało kontury turni, teraz zaś był to mglisty ranek, a słońce przyświecało z tyłu skały,

tak, iż jej cała plastyka w niewyraźne spływała kształty. Zwróciły jednak uwagę moją leżące na dole głazy z powierzchnią z jednej strony o wiele jaśniejszą, prawie białą, świadczące że świeżo odkruszyły się od turni. A gdyśmy zaczęli drapać się w górę, przekonałem się rychło, że nie sama tylko magia światłocienia, nadaje tak odmienne skale pozory, lecz że zmiany które w niej zaszły są o wiele realniejsze. Nie mogłem już odnaleść stromej i urwistej ścieżynki, czyli po góralsku »perci«, którą szedłem był pierwej z powrotem, a raczej którą przesuwałem się oparty piersią o skalistą ścianę a palcami czepiając się powyżej chropowatości skały i wciskając je w jej zagłębienia. Ścieżkę tę kozią podmyła widocznie woda w czasie gwałtownej nawalnicy. Tu i ówdzie oderwała się ona od skały i usunęła w przepaść, pozostawiając tylko ślad po sobie w jaśniejszym wzdłuż tej smugi kolorycie kamienia. Nie mogąc się zrazu zoryentować, dostrzegłem za pomocą binokli dopiero, owo miejsce, gdzie zakryte dla mnie z dołu dużym głazem, znajdowało się wywierzysko strumyka. Ścieżki prowadzą-

cej z dołu już nie było. — Jak się tam dostać?

Rozmyślając nad tem, przypomniałem sobie, że za poprzednią moją bytnością, wieczorem, spiesząc się z powrotem do Zakopanego, nie zbadałem, do której z licznych rozpadlin spływa ów strumyk. Szukałem go napróżno na dole i zmuszony byłem przypuszczać, że jak się to często zdarza, chowa on się pod rumowiskiem zalegającem kotlinę i wypływa gdzieś daleko stąd, łącząc się może podziemnemi drogami z większym potokiem doliny, tam, gdzie sprawdzić tego niepodobna.

Ale jak się dostać do wywierzyska?

Raz jeszcze sięgnąłem do binokli, a wylazłszy na małe wzgórze, przeciwległe owemu miejscu, spostrzegłem, że tylko ścieżka na dół od wywierzyska do kotliny wiodąca się usunęła, w całości zaś zachowała się część jej górna, ta właśnie, którą za pierwszym razem tam się dostałem. Była to część jej najbardziej stroma i pochyła, która teraz w wywierzysku urywała się nagle, tak, iż dostawszy się do niego z góry, staniemy nad

przepaścią i tylko tą samą drogą tj. drapiąc się znowu w górę, można będzie powrócić.
Nie ma rady, trzeba skałę okrążyć i dostawszy się na szczyt jej z przeciwnej strony, górną częścią nieuszkodzonej jeszcze ścieżki, dostać się do celu naszej wycieczki. Ruszyliśmy więc tam bez zwłoki.

— Zabierze nam to kilka godzin, ale czasu do wieczora mamy dosyć – rzekł mój towarzysz, wysuwając się przodem.

— Do wieczora? ależ ja dziś do Zakopanego z tobą nie wracam, umówiłem się bowiem z towarzystwem pań, że przyjdę dziś na polanę Pyszną. Jutro chcą widzieć z Bystrej wschód słońca.

— A ja jutro rano idę z naszym profesorem na Lodowy.

— Tam więc poniżej *wierchu* dzielą się nasze drogi. Dokonawszy dzieła i z bogatą zdobyczą przedpotopowych kości, będziemy na szczycie obiadować. Dziś wybornym mnie zaopatrzono zapasem łakoci.

— I mnie także, a niosę i wina butelkę.

— Doskonale. Schodząc ową ścieżką urwaną, torby zostawimy na górze.

— A gdyby się kto z nas zesunął w przepaść, to drugi tam w górze wypije całą butelkę za jego zdrowie.

— Et, pleciesz bracie. Gdyby którego z nas spotkało nieszczęście, drugiemu odechciałoby się frykasów i wina.

Rozmawiając w ten sposób, pięliśmy się w górę po olbrzymim *piargu* tj. po stromem usypisku z mniejszych i większych głazów, usuwających się z pod nóg za każdym krokiem. W miejscach takich, towarzystwo z kilku osób złożone, winno iść zawsze w szeregu, nie wyprzedzając się nawzajem ani nie zostając w tyle, gdyż kamień potrącony nogą, toczy się zwykle z rosnącą w miarę przebytej drogi chyżością, a potem w podskokach coraz większych spada, potrącając i porywając za sobą inne kamienie, które toczą się również i gradem spadają na ociężałych maroderów.

I tym razem trzymaliśmy się tego prawidła, nie rozdzielając się od siebie. Mój towarzysz, młodszy i zręczniejszy odemnie, szedł przodem i zaledwie mu mogłem nadążyć, — tchu mi brakowało w piersi. Na domiar nie

okrążał on miejsc najbardziej nawet stromych, tylko w prostej jak strzelił linii zmierzał ku górze. Szliśmy tak już dobrą godzinę.

— Stój! — zawołałem ochrypłym ze znużenia głosem, — nie zdążę za tobą, tchu muszę zaczerpnąć.

Towarzysz mój zaśmiał się i przystanął. Gwiżdżąc wesoło jakąś piosnkę, nogą próbował po kolei chwiejniejsze kamienie i strącał te, które strącić się dały. Kamie-



nie toczyły się na dół i z coraz szybszym rozpędem podskakując olbrzymiemi łukami, zabierały z sobą całą gromadę potrąconych przez się braci. O kilkadziesiąt kroków niżej, już prawdziwą lawiną łomotały one, budząc echa rozgłośne, do dalekiego grzmotu podobne.

— W górę tędy iść można bezpiecznie — rzekłem, odpocząwszy chwilę — ale na dół nikomubym nie radził. Za stromo, można się stoczyć jak kamień.

A towarzysz mój, dla udowodnienia mi naocznym przykładem, że stoczyć się niepodobna, z szybkością kozicy zbiegł kilkadziesiąt kroków na dół i zatrzymując się nagle w najszybszym biegu, jakby rozhukanego rumaka osadził, zwrócił się i w podskokach dobiegłszy znów do mnie, zawołał:

— No, odpocząłeś; teraz ruszajmy dalej!

Ruszyliśmy. W godzinę minęliśmy *piargi*, potem przestrzeń dużemi zasianą głazami. Wreszcie pnąc się po trawiastem zboczu, stanęliśmy na szczycie.

Wiatr tu dął przenikliwy, niosąc kłęby tak zwanej »suchej« mgły, które przelatywały

z szybkością rozpędzonej lokomotywy, zasłaniając nam chwilami widok najbliższych nawet przedmiotów, to znowu odchylały nagle zasłonę, to z tej to z owej strony odkrywając nam na kilka sekund dalekie widnokręgi oświeconych słońcem obszarów.

— Cudowny widok! — zawołałem zachwycony.

Ale mój towarzysz nie zachwycał się wcale.

— Nic osobliwego — rzekł, zapalając lontem papieros. — Wydaje się pięknem zawsze to, co tylko chwilkę widać i gdy przypatrzeć się niema czasu. To tak jak panna w walcu. W domu inaczej się wyda.

— Oho, młodzieńcze! tak młody i tak już jesteś rozczarowany?

— Pfiu! — bąknął pod nosem.

— *Piargi* ci się lepiej podobały?

— Oczywiście! tam człowiek próbuje elastyczności swoich nóg i za każdym krokiem staje wyżej. A tu co? Widzi, że wyżej wyjść już nie można, chmur rozpędzić nie można, ani wiatru uchwycić za czuprynę. Trzeba założyć nogi pod siebie i czekać cierpliwie, dopóki nie łaska panu reżyserowi podnieść

kurtynę na trzy sekundy i ukazać nam to, co się z dołu lepiej widziało. I na tem koniec. Dziękuję.

— Pocóż więc wybierasz się na Lodowy?

— Aby tam z a j ś ć, nie po to, aby tam b y ć, siedzieć w kuczki i estetyczne *boruchy* odprawiać!

— Cóż za dzikie wyrażenia!... A więc wszystkie widoki dla ciebie bez wartości, a wszystkie panny brzydkie?

— Może i nie wszystkie — odpowiedział po chwili.

— A panna Józia?

Postawił marsa na czole i poczerwieniał na twarzy.

— Wiatr zimny, możeby się wina napić?

Zaprotestowałem przeciw tej propozycyi. Obstawałem z całą stanowczością za tem, aby przystąpić do przekąski i napitku, dopiero po powrocie z niebezpiecznej wyprawy.

Torby i pledy mieliśmy w krzaku kosodrzewiny, nieco poniżej szczytu.

— Chodźmy już — rzekł mój towarzysz. — Pogoda nie bardzo sprzyja, może się deszczem skończy. To szczęście, że mgły te lecą górą,

a poniżej, gdzie ta ścieżka być musi, mgły niezawodnie nie będzie.

Poszliśmy. W samej rzeczy, spuściwszy się kawał drogi na dół, w kwadrans może po opuszczeniu szczytu, zostawiliśmy za sobą, a raczej nad sobą świat mgieł i mogliśmy się wybornie oryentować. Trzeba było iść dobrą godzinę trawiastem zboczem góry, aby dojść do miejsca, gdzie zaczynały się skały. Tam już droga była coraz cięższa, tembardziej że po litym głazie łatwo usunąć się mogła noga a chcąc spuszczać się coraz niżej, trzeba było nieraz uwiesić się u skały rękoma, aby nogami dostać do kamienia, na którym stanąć wypadało. Nie dość na tem: kilka razy *kozia perć* zawiodła nas w takie miejsca, zkąd po półgodzinnem mozolnem złażeniu po szczelinach stromej skały, należało się wrócić, przekonawszy się o niemożliwości dalszego pochodu. Na ścieżynę względnie dość łatwą, którą za pierwszym razem dostałem się do wywierzyska, nie mogliśmy natrafić. Żeśmy ją w końcu znaleźli, nie moja to, ale wyłącznie towarzysza mego zasługa.

W porównaniu z drogą, którąśmy przeszli,

perć ta była stosunkowo bardzo wygodna, miejscami nawet tak szeroka, żeśmy obaj mogli iść obok siebie, a towarzysz mój żartował że »tu bryczką przejedzie«. Ścieżka obniżała się stale po łagodnej pochyłości, dwa razy tylko zdawała się urywać na zakręcie skały i zmuszała nas czas jakiś drapać się w górę dla przebycia garbu, który nam drogę tamował.

Tu nowy zakręt i ścieżka zwężyła się nagle. Na przestrzeni kilkunastu kroków zaledwie tyle było miejsca, aby gdzie nogę postawić. W dole u stóp przepaść; opierając się plecami o pionową prawie ścianę, staliśmy jakby na wypukłej galeryi opierścieniającej środkowe piętro wyniosłej baszty. Balkon ten pół-okrągły, odstawał przynajmniej o kilka metrów od pionowej ściany, na której opierała się baszta na fundamencie ukrytym w niezgłębionej przepaści. Rozległość widoku czarujące sprawiała tu wrażenie. Towarzysz mój jednak, nie skory do zachwytów, nie dał mi się długo rozkoszować tym widokiem i spieszył naprzód.

Ścieżka rozszerzyła się nieco, ale pionowa

w górze ściana zmieniła się w sklepienie, obniżające się coraz bardziej nad naszemi głowami, w miarę jak i sama ścieżka coraz gwałtowniej obniżać się zaczęła. W kilku miejscach uchylić trzeba było głowy, nawet zgiąć się we dwoje i przysiąść, aby zsunąć nogi na niższy próg, tam, gdzie już nie powolnym spadkiem, ale jakby schodami droga na dół nas wiodła.

Nie były to jednak trudności zbyt ciężkie do przebycia dla oswojonego z niemi *taternika*. Wszakże nawet towarzysz pierwszej mej wycieczki z łatwością je przebył, chociaż ani śmiałością ani zręcznością nie odznaczał się wcale. Teraz dopiero zaczynała się najcięższa i poniekąd niebezpieczna przeprawa. Nowy ukazał się zakręt na nowym skalistym wyskoku góry, a zaledwieśmy go okrążyli, ujrzałem najwyraźniej w zagłębieniu, o kilkadziesiąt metrów niżej, ową szczelinę z wywierzyskiem, do któregośmy zmierzali. Ścieżynka coraz węższa i coraz bardziej pochyła, pod szalonym kątem spadała ku temu miejscu, a tuż za wywierzyskiem urywała się zupełnie.

Zatrzymałem towarzysza i wyciągając ramię w tym kierunku, zawołałem z radością:

— Tam!

Zaledwie wyrzekłem to słowo, on już zeskoczył z progu i zanurzając palce w szczeliny popękanej skały, na której całem opierał się ciałem, zsuwać się zaczął po *perci* z zręcznością godną najdzielniejszego z przewodników. Z pod stóp jego żwir i piasek sypał się w przepaść za każdym krokiem w dół.

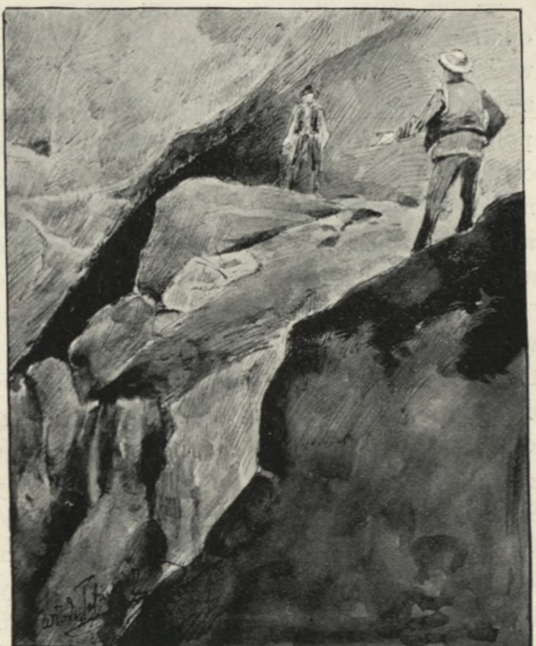
Nagle spojrzałem i włosy stanęły mi na głowie z przerażenia.

— Stój! — wykrzyknąłem. Ale już było zapóźno.

Dziś jeszcze gdy o tem piszę, przechodzi mnie mrowie od stóp do głowy. Spostrzegłem, że ścieżynka która oderwała się i odpadła całkowicie za wywierzyskiem, tak, jak to widzieliśmy z dołu, usunęła się również przed niem w jednem miejscu, tak iż na przestrzeni trzech do czterech stóp, nie było jej już wcale i tylko niezgłębiona zionęła pod nią przepaść...

- Dzielny młodzieniec spostrzegł niebezpieczeństwo w ostatniej dopiero chwili i śmiałym

skokiem przez przepaść przesadził. Przebiegł kilka kroków dalej szybko i stał już na turni



nad wywierzyskiem, w miejscu bezpiecznem, na wyskoku skały.

Ochłonąłem. Ale w oczach mi się ćmiło

i zdawało mi się, ze świat się ze mną w koło obraca.

— Jak mogłem... jak mogłem być tak nieopatrznym! popełnić podobną nieostrożność! wyrzucałem gorzko sam sobie. Wszak widząc z dołu dokładnie, że ścieżka z drugiej strony poniżej wywierzyska usunęła się skutkiem ostatniej słoty i runęła w przepaść, powinieniem był przewidzieć, że i powyżej tego miejsca bezpieczną nie jest i albo przerwaną, albo grozi upadkiem!

Antoś stał na dużym głazie osłaniającym wywierzysko od dołu w dumnej postawie. Obrócił się teraz ku mnie i uchyliwszy z uśmiechem kapelusza, pozdrowił mnie gestem tryumfatora. *Ciupaga* w prawem ręku, zwieszony przez lewe ramię *serdak*, puszczony na wolę wiatru, igrającego z jego jasno-blond włosami — postawa malownicza: panna Józia, jeźli nie była już w nim zakochaną, mogłaby się była zakochać, ujrzawszy go w tej chwili.

Postąpiłem krok naprzód, chcąc przypatrzeć się tej karkołomnej drodze, którą przebył mój towarzysz, przeskakując przez przepaść, przez którą jabym się nigdy był skakać nie ważył.

Antoś jednak sądząc zapewne, że chcę iść za jego przykładem, wyciągnął z przerażeniem oba ramiona nad głową i zawołał:

— Nie idź tu! nie idź! ani kroku! — a widząc żem się zatrzymał, dodał: — Przeskoczyć można, ale ta *perć* odstaje od skały i oderwie się tak jak poniżej z tamtej strony. Spostrzegłem to i dlatego przeskoczywszy, przebiegłem po niej tak szybko. Mnie utrzymała jeszcze, ciebie może już nie utrzyma i runie w przepaść.

— Słuchaj! — rzekłem — i ty nie waż się przechodzić po raz drugi. Pójdę do Kościelisk, sprowadzę górali, przyniosę linkę, po linie się spuścisz na dół, albo do góry cię wywindują.

Zrobił głową gest przeczący.

— Na dół za daleko, nie znajdziesz takiej długiej liny, a do góry mnie nie wyciągną, bo przecież powyżej mojej głowy sterczy ta skała jak sklepienie: liny ztamtąd spuszczonej, nie zdołałbym pochwycić.

— Rzucimy ci jeden koniec liny, a ty przywiążesz ją tam i przedostaniesz się tu do mnie...

— Do czegóżbym ją tu przywiązał? Ten głaz na którym stoję, stoi mocno dopóki go ciężar z góry przygniata, ale szarpnięty liną na bok, stoczy się natychmiast.

— Górale znajdą sposób aby cię ztamtąd bezpiecznie przeprowadzić.

— Czyż oni mądrzejsi od nas? nie, nic nie wymyślą. Musiałbym zresztą pół dnia tu czekać.. jak ongi cesarz Maksymilian na *Martinswand*. Wstyd by mi było. Za nic w świecie!

— Zlituj się! to szaleństwo chcieć przejść po ścieżce, która lada chwilę może stoczyć się w przepaść!

— Prawda, że szaleństwo. Ale sam mnie tu przyprowadziłeś, — i zaśmiał się pustym śmiechem.

— Prawda, prawda, źle zrobiłem... ale nie wiedziałem, nie przypuszczałem... zresztą nigdybym ci nie dozwolił był skakać przez tę przepaść. Antosiu! Zlituj się! miej rozum!

Zaśpiewał wesoło:

Co mi tam, wszystko mi jedno!
Co mi tam, czy dziś czy jutro
Opuszczę tę ziemię biedną,

Porzucę ciało jak futro
W którem się dusza spociła...

— Czy tak mówi Wasilewski?

— Antosiu! miej rozum!

— Do rozum rym rygorozum... ale to dopiero na przyszły rok mnie czeka. Teraz trzeba przedewszystkiem zbadać to wywierzysko.

Zeskoczył z głazu na którem stał i przechylił się o ile mógł pod skalne sklepienie, aby zajrzeć do czeluści nie wstępując na fatalną ścieżkę.

— Gdzież ta woda? — zawołał. — Ani śladu strumyka o którym mówiłeś. Wywierzysko zupełnie suche.

Zaledwie mogłem temu uwierzyć. Strumyczek, który tam znalazłem za pierwszą bytnością, nie był wprawdzie duży, woda jednak ze szczeliny wydobywała się obficie i rozlewała w dwie strony, tworząc rodzaj małego basenu, głębokiego na szerokość dłoni, na przestrzeni co najmniej dwóch metrów, i z łożyska tego spływała na dół wodospadem. Sam rozmiar tego otworu w skale, zbyt obszerny na tę strugę która przezeń wypływała, przed-

stawiał się oku jakby miniaturowa pieczara gnomów lub koboldów i nasuwał słuszne przypuszczenie, że po ulewnych deszczach zdrój ten bywa bez porównania obfitszym, a strumyczek w duży strumień się zmienia. Tymczasem po dwutygodniowej słocie zdrój wysechł.

Wyciągnąłem binokle i skierowawszy je w tę stronę, przekonałem się, o ile mi wyskok skały widoku nie zasłaniał, że istotnie strumyka niema tam ani śladu. Zauważyłem natomiast, że wspomniana pieczara przed otworem w skale, znacznie się rozszerzyła.

— To tak jak w Tomanowej, — zawołał Antoś, — tam także jest jaskinia, z której czasem duży strumień wybucha przez czas niejaki, a potem lata całe ani kropli wody.

Rozglądał się teraz w całem tem, suchem teraz łożysku strumienia, szukając skamieniałych kości. Po chwili rzekł, wsuwając głowę w głąb otworu:

— Przez te wrota można się tam wcisnąć do tej koleby. Dość obszerna. Dwóch chudych pokutników mogłoby się tam zmieścić... na klęczkach, z pochyloną głową... ale takich



chudych jak ja; Bernardyn by się tu nie zmieścił.

I mówiąc to, znikł z przed oczu w pieczarze. Chciał ją widocznie dla dokonania ścisłej rewizyi uprzątnąć, za chwilę bowiem zaczęły z niej wylatywać wyrzucane daleko kamienie. Gradem leciały te pociski w przepaść przez czas dłuższy, a Antoś, widocznie zadowolony z tej zabawy, wychylił w końcu głowę i zawołał:

— A co? tak się bronią *brachycefale* troglodyci przeciw napadom długogłowych wędrownych Aryów! hu! ha! — i ponownym jeszcze rzęsistszym gradem, kartaczować zaczął napastników. Okrzyk jego i łoskot rozbijających się w przepaści głazów, rozlegał się, powtórzony wielokrotnem echem i sprawiał złudzenie toczącej się na prawdę, dzikiej jakiejś walki. Aby powiększyć jego zabawę, zawtórowałem mu także wojennym okrzykiem.

— Otóż to, to piękne! — zawołał, przerywając bombardowanie. I schował się znów do jamy, a kamienie znowu zaczęły wylatywać w powietrze.

Trwało to dość długo. Znużony, zaprzestał wreszcie walki i twarz jego rumiana, okolona bujnym włosem, ukazała się w otworze.

— Słuchajno, Antosiu, — rzekłem — trzebaby abyś całą tę jamę dokładnie zlustrował i wyrzucił z niej kamienie. Tam się z pewnością znajdą jakie ciekawe kości. A ja tymczasem pójdę na dół po linę, bo niepodobna abyś tą samą wracał ścieżką. Runąłbyś z nią w przepaść! Pójdę, ale mi daj słowo, że przez ten czas nie wyjdziesz z pieczary.

— Nie! nie! — zaprotestował, — Daję słowo, że wyjdę natychmiast, jeźli się ztąd oddalisz!

— Ależ to szaleństwo!

— Bo ja szalony — odparł niecierpliwie. — Dajmy temu pokój. Ale, wiesz co? tam za jamą łączy się korytarzyk, do którego, gdy wyrzucę rumowisko, także się będzie można wcisnąć na raczkach. Kto wie, może tam dojdę do jakiej groty obszernej? Szkoda tylko że niemam świecy, bo w korytarzyku ciemno zupełnie. Mam tylko zapałki woskowe, ale te mi nie wystarczą.

Nie ustawał w pracy i gruz już teraz lawiną się sypał.

Rozmyślałem nad tem, czy zrzuciwszy ubranie i bieliznę nie dałoby się wiążąc rękawy i nogawice i splatając razem, ukręcić z tego materyału rodzaj liny, której jeden koniec rzucony memu towarzyszowi i tam przywalony kupą kamieni, a drugi w mem ręku silnie przytrzymany, dozwoliłby mu bezpiecznie przedostać się przez przepaść i ominąć ścieżkę grożącą zawaleniem. Projekt ten wydał mi się nietylko wykonalnym, ale jedynym środkiem ocalenia, jaki jeszcze pozostawał wobec uporu Antosia. Ubranie moje zegeltuchowe wydało mi się dość silne, aby ukręcona z niego lina utrzymała człowieka tak szczupłej jak on budowy; przerzucenie końca liny nie wydawało mi się także zbyt trudnem, jeźli u końca tego uwiążę kamień, — szło tylko o to, aby rozmierzyć okiem odległość, która nas dzieliła i obliczyć możebną długość tej improwizowanej liny bezpieczeństwa, przekonać się, czy na tę odległość wystarczy.

Zastanawiałem się właśnie nad tą kwestyą

matematyczną, gdy zwrociła moją uwagę nagła cisza, która nastała w jamie, zkąd Antoś przed chwilą z takim zapałem wyrzucał rumowisko. Zawołałem na niego raz i drugi — żadnej odpowiedzi.

Zaniepokoiło mnie to zrazu, w krótce jednak przyszło mi na myśl, że zapewne udało mu się owym wązkim kurytarzykiem przepełzać w głąb pieczary, gdzie go głos mój nie dochodzi.

Zapaliłem papierosa, zajęty obliczaniem prawdopodobnych wymiarów ścieżki i projektowanej liny. Cisza jednak po tamtej stronie przepaści trwała zbyt długo i niepokój mój wzrastał.

— Antoś! — wołałem całą siłą głosu, — Antoś!...

Nie odpowiadał. Tylko głos mój własny, odbijając się o turnie, powracał do mnie wielokrotnem echem.

Co tu robić? Co się z nim stać mogło? Przychodziły mi na myśl różne zdarzenia przy zwiedzaniu jaskiń, o których mi opowiadano. Może wcisnąwszy się w jakąś wązką dziurę, wydobyć się nie może? Może wpadł

w jaką przepaść? Może niebacznie usunął kamienie, na których opierało się rumowisko i teraz zasypały go gruzy? Może omdlał z braku powietrza? Co począć?

Nie straciłem jeszcze nadziei, postanowiłem czekać cierpliwie kwadrans, pół godziny... Spojrzałem na zegarek, naznaczyłem sobie ostateczny termin oczekiwania. A co potem?

Potem? Potem chyba spróbuję się tam dostać... Ale jak?

Spojrzałem na przerwę w ścieżce która tam wiodła. Ścieżka może jeszcze mnie utrzyma, jeźli szybko po niej przebiegnę — ale przepaść? Nie, tę przepaść ja skokiem przesadzić nie zdołam, — ani mowy, aby mi się to powiodło. Tam w dole roztrzaskam głowę o te skały. Co tu począć?

Nadstawiłem ucho, natężając słuch, czy mnie szelest jaki lub chrobotanie kamieni nie doleci.

Nic i nic. Na domiar złego, wiatr zaczął dąć gwałtowny, skumląc i gwiżdżąc między turniami i po rozpadlinach i zamiatając okruszynami żwiru gładką jak mur ścianę nad mą głową. Zdaleka dochodził huk charakte-

rystyczny, z jakim się zbliża zwykle wicher halny.

Oprócz wiatru, nie słyszę nic zgoła. Krzyczałem i wołałem raz po razu — wśród wichru i głos mój teraz rozlegał się inaczej, i nawet echo stłumione, już zaledwie wracało do mnie.

Spojrzałem na zegarek, byłem pewny, że minęło już najmniej pół godziny, a to może minęły dwie minuty zaledwie, które mi się tak nieskończenie długiemi wydały. Tu idzie o życie tego młodzieńca, każda minuta rozstrzyga może o życiu i śmierci!

Kląłem wszystkim wycieczkom w góry, turystycznym imprezom, wszystkim górom, skałom i jaskiniom. Bezradny siedziałem na odłamie skały, ukrywając twarz w dłoniach.

— Wiwat! zwycięztwo! — rozległ się nagle okrzyk i ocknąwszy się, ujrzałem Antosia wyłażącego z nory.

Aż mi serce głośno zakołatało w piersiach! Powiewał ku mnie radośnie kapeluszem i pokazywał mi jakiś przedmiot trzymany w drugim ręku.



— Wiwat! zwycięztwo! wielka zdobycz! wielkie odkrycie!

— Kości?

— Nie kości, ale coś ciekawszego jeszcze,

może daleko cenniejszego, sam nie wiem co to jest!

— Cóż takiego?

— Nie wiem. Obaczysz!

I spojrzawszy na drogę, jaka go teraz czeka, dodał:

— Bylem się tam przedostał... przez ten most *Alzyratu*.

— Słuchaj, Antosiu! wymyśliłem sposób bezpiecznego przejścia dla ciebie. — I tu wyłożyłem mu mój projekt sporządzenia ratunkowej liny z mego odzienia i bielizny.

— Co?... jak? — pytał, niemogąc dosłyszeć z powodu gwałtownego wichru.

Podniosłem głos i wyłuszczyłem mu mój plan szczegółowo.

Antoś przysiadł na skale, chwycił się oburącz za boki i tarzając się po ziemi, zanosił się od śmiechu.

— Jakto? chachacha! a ty tymczasem tam na skale w stroju leśnego satyra... jak bożek *Pan*... chachacha!

— Tu niema się z czego śmiać — odburknąłem zniecierpliwiony, — tu idzie o życie!

— A jeźli jakie towarzystwo turystów wy-

brawszy się na wycieczkę, przechodzić będzie doliną, a piękne damy zwrócą swe lornety na tę górę... będą myślały, że to Olimp... chachacha...

— Niech myślą co chcą.

— Ale wyobraź sobie tylko: próbujesz przerzucić do mnie swoją linę, a lina wyrywa ci się z rąk i wpada w przepaść! *Drałuj*-że wtedy tak do domu na bosaka... ach, prawda, nie na bosaka, bo by ci buty zostały... tylko buty! dalejże truchcikiem Kościeliską doliną, dwie mile do Zakopanego, na Krupówki, poprzed oknami wszystkich dworków... albo z tyłu ogrodami przez płoty przełażąc! chachacha... Górale wzięliby cię za cygana i zaprowadzili do Starostwa, do Nowego Targu.

— Mniejsza o to, mniejsza o to!... Zresztą przerzucając jeden koniec liny, drugiego nie puszczę z rąk...

— Ale jak będę po niej przełazić, to muszę ją z tej strony uwiązać lub przytłoczyć jakim ciężkim głazem. Cóż potem zrobimy, jak przelezę?

— Będziemy obaj ciągnąć i wyciągniemy.

— Jeźli się pode mną nie urwie i nie wysunie z pod głazu, to się musi rozedrzeć przy wyciąganiu. Piękna rzecz! pomaszerujesz potem w pantalonach o jednej nogawicy.

— To wszystko bagatela, w porównaniu z niebezpieczeństwem, które tobie grozi.

— Cóż mi się stać może? Co najwięcej, mogę czaszkę rozłupać na dwoje... nic się tam z tego czerepu nie wytrzęsie, pusty!

— Wstydziłbyś się tak mówić.

— Prawdę mówię... A czy możeby kto po mnie zapłakał? Rodzice pomarli, siostra wyszła za Niemca do Meklemburgu, brat zginął w Jenisejsku... chyba j e d n a!... ale i ta rychło zapomni!...

Wstrząsał swoją złotą grzywą, przeciągając ręką po czole, jakby natrętne muchy odganiał.

— No, czas w drogę! — I zaczął deklamować z emfazą młodociane wiersze Ujejskiego:

> Na próżne skargi, zacięte wargi,
> Lecz duch hartowny, twardy jak stal!
> Bo co zamyśli, to czynem skreśli...

Rozglądał się po skale nad fatalną ścieżką, po szczelinach i szparach, o któreby można

zaczepić się palcami rąk lub na chwilę oprzeć się nogą. Wiatr, który falami nadlatywał, w tej chwili silniejszą znów uderzył falą. Pośród szumu słyszałem tylko czasem głośniejsze wyrazy:

A jeźli bacznie, co działać zacznie...
. . . .
Hej! czas ucieka, co ciebie czeka
W nagrodę trudów, o tem nie śnij!
Karta sławy lub . . .

— Słuchaj! — zawołał znowu, gdy wiatr się nieco uciszył. — Przyrzeknij mi jedną rzecz, ale pod słowem uczciwego człowieka, że spełnisz!

— Jeźli to rzecz godziwa, przyrzekam.

— Ale jeźli cało przejdę przez tę przepaść, zapomnisz!

— Tego przyrzec nie mogę.

— Nie powiesz wtedy nikomu, tak jakbym ci nic nie zwierzył, o nic nie prosił.

— Dobrze!

— Jeźli kark skręcę, powiesz pannie Józi, że o niej myślałem w tej chwili... Przyrzekasz?

— Przyrzekam — odpowiedziałem, a tak

mi się mdło w sercu zrobiło, jakby już dla Antosia nie było ratunku.

— W mym kuferku w Zakopanem, są moje poezye: jej oddasz. I dwie kartki jej ręką pisane... i fotografia...

— Oddam święcie.

— Ale inne listy, którebyś tam znalazł... spalisz... i nie będziesz ich czytał.

— Spalę... i nie będę czytać.

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam i dotrzymam.

— Dziękuję ci, — rzekł wzruszony. Palce do ust przyłożył i ruchem ręki posłał mi całusa.

Zwiesił głowę zadumany, tak jakby mierzył przepaść u stóp swoich i przyglądał się skałom, o które głowę roztrzaska. I ja tam patrzyłem z tajemnym dreszczem.

— Którego dzisiaj? — zapytał ponurym głosem.

— Szesnasty — odpowiedziałem również ponuro, nie czując całej śmieszności zapytania. I znowu nastało milczenie.

— Nie! to być nie może! to się stać nie może! — zawołałem nagle, porwany gorącą

chęcią uratowania towarzysza. — Czemuż nie chcesz się zgodzić, abym skręcił tę linę ratunkową, o której ci mówiłem! Nie przeczę, że mogłaby się rozedrzeć, gdybyś całym zawisł na niej ciężarem, ale jeźli jej się tylko będziesz trzymał, idąc ścieżką, to się ciężar podzieli i może się ścieżka pod tobą nie oderwie od skały...

Antoś wpadł znowu w najweselszy humor i śmiał się do rozpuku.

— Co ci się śni! Nawet długość twoich sukien nie mogłaby na taką linę wystarczyć... Gdybyśmy mieli pledy, to może...

— Pledy! pledy! — zawołałem uradowany tym pomysłem, jakby mi kto życie darował — wszakże mamy z sobą pledy! zostawiliśmy je z naszemi torbami na szczycie góry. Polecę po pledy i wrócę. Za dwie godziny najdalej, będę tu z powrotem.

— A dobrze, dobrze, idź po pledy — odpowiedział wesoło.

Nie czekając, zwróciłem się w górę, nie idąc, ale nieledwie biegnąc. Taką uczułem ulgę w sercu, taka we mnie wstąpiła otucha, że zdwoiły się moje siły i w tej gonitwie po

stromej *perci* nie męczyłem się wcale. Tchu mi teraz nie brakło, a tak lekko mi było oddychać, jakbym się odrodził i jakby mi wróciły młodociane lata mego towarzysza. Rychło straciłem go z oczu. W dziesięć minut może po wyjściu, poznałem po rozlegającym się huku, że Antoś zabawia się znowu strącaniem w przepaść kamieni. Przyspieszyłem kroku. Nie wiem, czy kiedy szedłem tak żwawo na jakiej wycieczce.

Droga jednak była daleka. Minęła godzina, minęły dwie już dawno, zanim z pośród skał wydostałem się na owo trawiaste zbocze, wiodące na szczyt góry. Rozglądałem się teraz, aby o ile można, w najbliższym kierunku zmierzać ku tej kępie kosodrzewiny, gdzieśmy złożyli nasze torby i pledy.

Ruszam więc dalej. Jeszcze paręset... jeszcze kilkadziesiąt kroków, a będę już na szczycie. Pogoda przecudna. Ani chmurki na błękicie. Wiatr ustał.

Podnosząc się za każdym krokiem, ujrzałem wreszcie kosodrzewinę.

Ze zdziwieniem spostrzegłem jakąś pod krzakiem postać, siedzącą na trawie.

Pewnie to juhas, znalazłszy nasze torby, oczekuje naszego powrotu, w nadziei, że może będziemy potrzebowali jego usług albo przynajmniej poczęstujemy *habryką*.

W ręku jego zabłysnął w blasku słońca jakiś przedmiot metalowy lub szklany. Aha!



to pewnie góral dobrał się do naszej butelki i winem naszem się raczy.

Spojrzałem przez lornetkę. Czy mnie oczy mylą?

Przyspieszyłem kroku. Spojrzałem raz jeszcze przez szkła.

— Nie, nie mylę się: to on! to Antoś!

Wydostał się widocznie karkołomną jakąś sztuką ze swego więzienia i krótszą jakąś

obrawszy drogę, szybszy w nogach odemnie, prędzej dobiegł do celu.

A ja się o niego niepokoiłem, a ja tak wytężałem siły, aby jak najprędzej przybyć mu z pomocą!

W pierwszej chwili śmiesznym zawrzałem gniewem, ale chwila ta nie trwała dłużej od mgnienia błyskawicy i ustąpiła uczuciu wielkiej i serdecznej radości.

Utraciwszy jednak bodziec moralny, który mnie krzepił dotąd i podtrzymywał moje siły, uczułem się nagle tak znużonym i wyczerpanym fizycznie i moralnie, że zaledwie zdołałem się dowlec do kosodrzewiny, a doszedłszy, rzuciłem się jak kłoda na trawę. Dychając ciężko, z przymkniętemi oczyma leżałem na wznak, rozkrzyżowawszy ramiona. Nie byłem w stanie ani słowa przemówić, gniewać się, ani cieszyć.

Antoś zauważył widocznie moje znużenie. Zwinąwszy pled w wałek, podłożył mi go pod głowę, zwilżywszy winem chustkę, otarł mi czoło i pełną nalawszy czarkę, klęknął przy mnie i rzekł:

— Napij się wina, to cię pokrzepi.

Podniosłem się i jednym haustem wychyliłem całą czarkę.

— Daj jeszcze. — Napełnił drugą. I drugą wypiłem.

— Ej, ej, Antosiu! — Pokiwałem mu palcem. — Cóżeś ty zrobił najlepszego! Jakim sposobem wydostałeś się ztamtąd?

— Najprostszym w świecie... ty powiesz: waryackim.

— W samej rzeczy! szalonym być trzeba...

— Nie gderaj już, nie gderaj; oto masz kawałek kiełbasy, ser i chleb. Nie gderaj, bo i tak zasłużoną karę otrzymałem.

To mówiąc, wskazał na swoje nogi.

Teraz dopiero spostrzegłem, że prawą nogę ma bosą.

— Cóż to? wywichnąłeś, czy skaleczyłeś?

— Ale gdzież tam! but zgubiłem.

— But? Jakże można but zgubić, przy takiej przeprawie?

— Przypomniałem sobie opowiadanie Jasia, jak z Maciejem Sieczką wydrapał się na Mnicha nad Rybiem. Kiedy przyszło mu drapać się po nagiej stromej skale, korzystając z każdej szczerby i szpary, aby tam wrazić

rękę lub nogę, zdjął buty i szedł boso. Bosą nogą uczepi się każdej chropowatości, z którejby but się ześliznął... Przyszło mi to wszystko na myśl, po twem odejściu. Otóż zdjąłem buty i zacząłem przełazić po skale nad samą ścieżką. Korzystałem także z twej uwagi, aby walącej się ścieżki nie obciążać całym ciężarem i gdy jedna noga była na ścieżce, drugą opierałem zawsze na jakiejś wypukłości skały. A palce rąk tak wciskałem w szczeliny, że mam teraz uczucie, jakbym ze stawów powyciągał. Najciężej było, gdy się ścieżka podemną oberwała! Czy słyszałeś huk? Sądziłeś pewno, że to ja runąłem w przepaść? Aż zadudniało na dole, a kamienie rozbijały się z takim trzaskiem o turnie, jakby cała rota peletonowym ogniem prażyła. To się nie da opisać jak to wyglądało, gdy mi z pod nóg nagle cała prawie runęła ścieżka, ile to naraz tych kamieni warcząc w powietrzu i ile tej ziemi posypało się na dół... Ale to najgorsze, że mi wtedy but wyleciał z kieszeni...

— No i cóż dalej?

— Skała w tem miejscu już nieco mniej stroma. Drapałem się więc pazurami jak kot

w górę, nie patrząc wcale na dół. Pierwszy raz w życiu doznałem coś podobnego do zawrotu głowy... Nigdy nie rozumiałem, gdy inni o tym zawrocie opowiadali, teraz wiem jak to bywa. Pal djabli, to bardzo nieprzyjemnie!... No, otóż tak drapiąc się w górę, doszedłem do przełęczy między dwoma turniami, powyżej tego zakrętu skały, gdzie ty siedziałeś. Tam już była wygodna *perć,* okrążająca wyższą turnię i wiodąca w górę. Wyprowadziła mnie aż na zbocze z tamtej strony i tak prędzej od ciebie tu dobiegłem... Ty bo zresztą idziesz pod górę jak dziad na Kalwaryą i co kilka kroków odprawiasz stacyę, na której musisz się nawzdychać i nakwękać. Mnie tchu nie braknie i płuca mi się nie męczą... ho, hop!... ho, hop!... ha, haoi!

Próbował siły swych płuc.

— No dobrze — rzekłem, dogryzając kawał chleba z serem — ale powiedz, cóż tam w twojej jamie znalazłeś tak osobliwego, coś mi z okrzykiem tryumfu pokazywał zdala?

— A prawda!... Otóż widzisz, w tym zaczarowanym pałacu królowej gnomów i koboldów, jest najprzód przedsionek, tak wy-

soki jak stół, pod którymby się klęcząc, dwóch ludzi mogło zmieścić...

— Mówiłeś, że jak cela dwóch chudych pokutników.

— No tak. Za tą celą wązki korytarzyk...

— Długi?

— Tak jak ja. Bo gdym się wcisnął, wyrzuciwszy gruzy... a ledwie się wcisnąłem... to nogi były jeszcze w przedsieni, a głowa już w przedpokoju. Przedpokój ten ma kształt wywróconego dzbana, wysoki, z dołu wązki, a w górze szeroki. Zmieściłoby się tam ze czterech piwowarów. Ale, zmieściłoby się i dziesięciu, tylko, że większa połowa tego przedpokoju zawalona gruzem od dołu aż prawie po sklepienie. Świeciłem stoczkiem, szukałem kości. Nic nie znalazłem.

— Dlaczegóż tę komorę nazwałeś przedpokojem?

— Lokaja tam nie było... ale przez ten przedpokój można się dostać dopiero do dalszych kompartymentów, lokalów... czy ubikacyi, jak wolisz...

— Wzorowa polszczyzna. Czemuż nie powiesz... komór, pieczar, jaskiń, izb, pokojów...

— Salonów, komnat, świetlic! Do salonu nie doszedłem, ale po prawej stronie przedpokoju zwiedziłem, znacznie niżej położony, czyściutki, wybielony kamiennem mlekiem alkierzyk czy lożę karzełka portyera z wązkiem okienkiem. Pod oknem stoi mała sofka kamienna przykryta świeżem prześcieradłem wapiennego mleka, z trójkątną czarną na niej poduszką, która skamieniała i przyrosła do łoża, spadając z wezgłowia... Po lewej z przedpokoju wchodzi się przez ciasne wrota do izby czeladnej znacznie większej... Wchodzę tam, patrzę: na środku izby długa, pół okrągła ława, załamana we środku, a na niej siedzi trzech drabów brodatych, w kapturach na głowie; jeden gruby, przysadkowaty, mego wzrostu, z wyciągniętemi grubemi nogami na ziemi, to ten, pod którym ława się złamała. Dwaj drudzy z boku jak dwuletnie dzieci, trzymają się wpół, głowy zbliżyli ku sobie i coś szepcą, jeden patrzy w ziemię, a drugi bardzo brzydki, z otwartemi usty spogląda w górę...

— Fantazyujesz!

— Gdybyś tam był!... W górze tej izby

czeladnej widziałem otwór, z którego kapała woda, ale tam dostać się nie mogłem... to albo tuba, przez którą wołają na służbę z górnych apartamentów, albo może zlew, przez który pokojówka królowej gnomów wylewa wodę ze złocistej miednicy, gdy się jej pani umyje. Woda zaczarowana marznie, sople lodu zwieszają się z otworu, a na podłodze, gdzie krople kapią, leży bryła lodu.

— Tak jak w grocie Magurskiej?

— Zupełnie tak. Otóż i tam szukałem kości i nic nie znalazłem. Izba ta czeladna jak i alkierz są bez wyjścia; wróciłem do przedpokoju, aby po rumowisku, zalegającem większą połowę izby, drapać się jak po schodach do trzeciego otworu, w górze pod sklepieniem. Wygląd tych kamieni zdawał się świadczyć, że dopiero niedawno są na tem miejscu, wszystkie z pod nóg się usuwały za każdym krokiem, tak jakby się nie uleżały jeszcze i dopiero co stoczyły z owego w górze komina. Dostałem się aż na wierzch tej kupy rumowiska, pod samo sklepienie, do szerokiej bramy, zasypanej gruzem, tak, iż tylko głowę tam wychylić zdołałem. Rzuciwszy

zapaloną gałkę z papieru poza bramę w górę, przekonałem się, że ta kupa rumowiska wznosi się tam jeszcze wyżej, ale że i sklepienie tam się podnosi coraz wyżej. Krzyknąłem, a głos mój tak się rozległ, jakby tam ogromna była próżnia, i odezwało mi się echo bardzo spóźnione, jakby w jakim tumie gotyckim. Byłem niesłychanie zaciekawiony i usiłowałem koniecznie dostać się za tę bramę. Próbowałem usuwać kamienie, aby się przecisnąć pod sklepieniem, ale wnet z góry staczały się na mnie inne. Chwyciłem się więc innego sposobu: nie usuwałem już kamieni gwałtownie, ale zdejmowałem je ostrożnie z góry, torując sobie miejsce. Tak do pół ciała udało mi się przecisnąć pod bramę. Nagle cała masa gruzu powyżej, która nie miała już oparcia na dolnej warstwie, stoczyła się na mnie i tak mnie przytłoczyła, że ani poruszać się naprzód, ani cofnąć z pod bramy nie mogłem. Myślałem, że mi tam marnie zginąć przyjdzie, ale że mnie już raz w innej grocie o mało gruzy nie zasypały żywcem, byłem więc tyle przezorny, a raczej zachowałem tyle zimnej krwi, żem się wobec tej lawiny

4*

ani ruszył i wyczekałem, dopóki kamienie staczać się nie przestaną. Uspokoił się wreszcie ten ruchomy potok kamienisty, którego fale pochłonąć mnie miały. Wtedy znowu zwolna, ostrożnie zacząłem z pod siebie wybierać kamień po kamieniu i odkładać na bok, aby tyle wytworzyć sobie miejsca wolnego, żebym napowrót mógł przecisnąć ramiona i głowę pod bramę... Gdy już czułem, że to się mi uda, wtedy nagle rzuciłem się wstecz jak ryba w saku, kopiąc przy tem co siła nogami, aby poniżej wytworzyć wolną przestrzeń dla staczającego się gruzu.

— I powiodło ci się?

— Nie powiodło za pierwszym razem. Przeciwnie, jeszcze mnie bardziej przygniotło. Podwoiłem jednak ostrożności i powtórzyłem ten manewr za drugim razem z lepszym skutkiem... No, i oto, gdym tak z pod siebie usuwał kamienie, robiąc sobie miejsce, patrz, co mi wpadło w rękę.

Wyciągnął z kieszeni metalową puszkę, z kształtu i wielkości przypominającą pudełko na sardynki, lecz nieco większą a bardziej płaską. Puszka była oblepiona jakąś ciemno-

brunatną stężałą gliną, z jednej strony świeżo odskrobaną. Widniał tu wyciśnięty znak trójkątu z promieniami do koła i okiem w pośrodku — symbol Opatrzności. Trudno było rozpoznać, czy to przedmiot archeologiczny, czy nowożytny.



— Dziwna rzecz zkąd się to tam wzięło — rzekłem, trzymając puszkę w ręku. — Czy próbowałeś otworzyć?

— Otworzyłem: tu zasuwka. Nigdybyś nie zgadł co się tam mieści!

Odsunął zasuwkę i, wytrząsając, wydobył z paczki złożony w kilkoro duży arkusz po-

żółkłego mocno pergaminu z wymalowanym pośrodku w spłowiałych kolorach wizerunkiem herbu *Ślepowron.* Brzegi dyplomu zdobne były obramieniem wyzłacanem z arabeskami z liści dębowych, orłów, lwów, tarcz, hełmów, mieczów, buńczuków itp. U spodu rzucały się w oczy wyrazy: *Indigenatus...* i widny był jeszcze: po lewej ręce podpis króla Jana III, po prawej król. sekretarza Denhoffa. Brakło pieczęci, zawieszonej zwykle na jedwabnej tasiemce, snać była oderwaną. U góry świeciły się złotem wyrazy:

In nomine Domini. Amen. — Ad perpetuam rei memoriam. — a dalej wyliczenie tytułów monarchy:

Joannes III. Dei Gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Kijoviae, Volhyniae, Podoliae, Podlachiae, Livoniae, Smolensciae, Severiae Czernichoviaeque etc.

Poczem poczynały się słowa właściwego dyplomu od zwykłej formuły, zaczętej dużym złoconym inicyałem:

Notum, testatumq. facimus universis et

singulis, quorum interest, hujus et futuri saeculi hominibus, cujusvis dignitatis praeminentiae et conditionis existentibus, aeviternis temporum curriculis plaenariam praesentium notitiam habituris... etc. etc.

Wreszcie dyplom poświadczający, że Urodzony JMć Pan Józef Kalasanty na Meleszkach Baczmaha, Towarzysz Usarski, z swojego szlacheckiego legitymujący się pochodzenia, jak niemniej skutkiem niemałych zasług w wojskach królewskich odniesionych, za rekomendacyą JWWch Hetmanów Obojga Narodów, *cum prole* do prerogatywy stanu szlacheckiego za zgodą Wszechstanów przypuszczony zostaje...

— Ciekawa rzecz zaiste — rzekłem, przypatrzywszy się dokumentowi — jakim sposobem puszka z klejnotem szlacheckim pana Baczmahy dostała się do tej jamy? Czy ją zbójcy tam zanieśli, obrabowawszy dom szlachcica? Czy może jaki potomek jego ukrywał się gdzie w jaskini? z której później woda owym podziemnym kurytarzem zaniosła puszkę tam, gdzie ją znalazłeś? I jak dawno to się stać mogło? Jużci w naszym

wieku z dokumentami szlachectwa nikt się chyba nie nosi po górach i nie ukrywa?... Dziwi mnie tylko, że ta puszka, która światami gdzieś wędrowała pod ziemią, zachowała się w całości, że ją te gruzy nie rozgniotły i nie roztarły. Wprawdzie ściany ma grube, pozaginane tu i owdzie, ale...

— To jeszcze nie wszystko — rzekł Antoś, — obróć.

Obróciłem i na odwrotnej stronie pergaminu dojrzałem bardzo blade i wypełzłe pismo, którego zrazu wcale nie byłem dostrzegł. Rękopis bardzo niewyraźny i nieczytelny miał charakter tak łatwy do poznania pism z drugiej połowy przeszłego stulecia.

Próbowałem czytać.

U góry grubszemi i wyraźniejszemi literami stało napisane mniej więcej co następuje: (NB. zauważyć muszę z naciskiem, że dokument ten, tak jak i poprzedni dyplom, odpisuję z pamięci, a więc za ścisłą wszystkich wyrażeń użytych wierność nie biorę odpowiedzialności. Nie silę się nawet naśladować stylu i języka XVIII wieku, wplatając tylko niektóre zapamiętane wyrazy.

Co się stało z dokumentem oryginalnym, poniżej opowiem).

† † †

Laudetur Jesus Christus.

Ja Urodzony Krzysztof Hieronim na Mieleszkach Baczmaha, Nobilis Polonus herbu Ślepowron, syn ur. Marcina na... y ur. Anny z Znamirowickich... w godzinie śmierci podpadłszy naj... przygoda inaudita... horribile dictu... w żywym grobie sepultus... in orcu... clamans jak Daniel w lwiej jamie zmiłowania Bożego... non quidem ciała mego, którego już nie mam prawie, z tej przepaści wyzwolenia, ale duszy mej wyzwolenia... libera Domine... w tej nadziei, że pismo moje dojdzie rąk ludzkich, błagam i suplikuję na rany Chrystusa, aby moim potomkom i nazwiska mego dziedzicom... o losie żałosnym i niesłychanym, o jakim w żadnej księdze nie znajduje się notitia... jako powiedziane jest: et ossa ejus loquebunt... pisząc przy świetle gromnicy, którą matka moja w ostatniej chwili ucieczki naszej z domu naszego, nawałą hostium obleganego, zabrać mi pole-

ciła... a przy której ducha oddał śp. Ojciec mój Marcin, śp. Dziad Jacek i śp. Prababka ur. Anastazya z Podwolskich Wielorowiczowa, śp. Babki mojej Matka... świeć Panie nad duszą ich... a zasię piszę w braku innego incaustem krwye własney, której zaledwie usączyć jeszcze zdołam... w lat tak wiele po mojem do tego Abyssu zapadnięciu... albowiem wyschła w żyłach moich... tylko samo rusztowanie szkieletu, ścięgnami trzymane w kupie... ale sanguine podpisuję ten testament... nie zawieram paktu haereticorum modo z księciem ciemności, ale pakt in aeternum cum Redemtore nostro Domino J. Ch., który niech będzie miłościw duszy mojej... [tu cały ustęp nieczytelny] ...relationem facti... 19 Junii A. D. 1769... ...salus tylko w ucieczce pozostawał... 12 Junii... z dołu uciekających... z rusznic i samopałów nas gęsto razili, ciągle w tropy nasze następując... niejeden z naszych siekańcem dosiężon w przepaść się zwalił... tylko NŚw. Imie Maryi na ustach... ale że hostes górskich ścieżek nie byli świadomi, więc my za przewodem onego chłopa z Zacichla... który za

ręce dzieci moje nieletnie prowadził a trzecie miał na ręku... dziewczątko w krwawej



tej przeprawie w swej dziecinnej innocencyi nie rozumiejące znaczenia świstu kul, tylko

kwiatom górskim się dziwowało, a chłopak przedrzeźniał kule gwizdaniem... Ale staruszka matka, którą bracia moi pod ramiona wziąwszy... ustawała, wołając, że woli raczej... małżonkę moją także, którą ja na tem strasznem bezdrożu... ledwie... tak z wielką męką i trudem, ostatka sił dobywając, na tę Kalwaryę... usque ad summum culminem montis dictae Stara Robota, gdzie miały być zasypane niegdy kopalnie śrebra JKM...

Przerwałem mozolne czytanie, a raczej odcyfrowywanie manuskryptu, pisanego niewyraźnym charakterem, a pismem tak wyblakłem (może istotnie krwią?), iż zaledwie niektóre słowa odczytać się dawały i sens jako tako pochwycić było można.

— Czy rozumiesz? — zapytałem Antosia, którego żywe zrazu zainteresowanie się manuskryptem zaczęło widocznie słabnąć.

— Prawie nic — odpowiedział obojętnie, zabrawszy się do krzesania ognia krzesiwkiem, zapałki bowiem wyświecił wszystkie w grocie.

— Mnie tak się rzecz przedstawia: szlachcic ten pisze, że skutkiem napadu nieprzy-

jaciół... zapewne to się musiało dziać około r. 1770 w czasie konfederacyi... uciekać musiał z domu swego i chcąc się zapewne schronić na Spiż, umykał wraz z rodziną i towarzyszami przez góry, ścigany strzałami z rusznic i samopałów...

— No dobrze, ale ten *Abyssus,* ten *inkaust* z krwi?

— Schronił się do jakiejś ciemnej groty...

— Wszakże pisze o zapadnięciu?

— Schronił się może do starej sztolni i może tam zabłąkał się, albo zapadł gdzieś głębiej i wydostać się nie mógł. Pisał przy świetle gromnicy, którą przypadkiem miał z sobą, bo mu ją matka w chwili ucieczki z domu zabrać kazała... a w braku atramentu pisał krwią.

— A zkądże pióro wziął?

— No, to najmniejsze — odparłem rozśmieszony tą studencką uwagą — może miał orle pióro przy kołpaku...

— Ach, prawda! — zawołał Antoś, zachwycony tak poetycznem rozwiązaniem trudności.

— To najmniejsze — powtórzyłem, — nie

rozumiem tylko co znaczy ten ustęp, w którym opowiada, że krwi własnej mu brakło, bo mu wyschła w żyłach i zostało tylko rusztowanie szkieletu ścięgnami utrzymane w kupie. To już chyba przenośnia jakaś? To znaczy zapewne, że tak wychudł w tej jamie z głodu, że tylko skóra i kości zostały?

— A czy uważałeś, że twierdzi, iż ten memoryał pisze w lat wiele po zapadnięciu? Czemże p. Baczmaha tam żył?

— Jeźli mu tam ludzie żywności dostarczali, to mogli go i wyciągnąć? Chyba, że się szlachcic musiał tam przez długie lata ukrywać? Przed kim i czemu? to niejasne. Wogóle, w miarę jak czytamy, coraz bardziej powątpiewam o autentyczności tego memoryału. Charakter pisma jednak, ortografia, język, łudząco naśladuje wiek XVIII, ale to zapewne tylko zręczny falsyfikat. Nie pojmuję tylko w jakimby go celu zrobiono.

— Jeźli się fałszuje dokumenty, to nie na to, aby je rzucać w przepaść.

— I to słuszna uwaga. Pozostanie nam więc zawsze ciekawa zagadka.

— Czytajmy dalej.

Słońce dopiekało, ukryliśmy się głębiej w krzaki kosodrzewiny, które nas jakim takim cieniem osłaniały od jego promieni. Czułem się tak znużony forsownym nad siły marszem i wszystkiemi doznanemi w tym dniu wrażeniami, że mimo ciekawości, którą we mnie budził znaleziony przez Antosia dokument, kleiły mi się do snu powieki.

— Ach, gdyby tu gdzie była woda w pobliżu! — westchnąłem.

Próbowałem czytać, ale pismo manuskryptu było tak blade i niewyraźne, że mnie naprawdę oczy zaczynały boleć.

— Niedowidzę, oczy sforsowałem.

— To ja spróbuję czytać, mam pewną wprawę w czytaniu takich pism...

— Wiesz co Antosiu — rzekłem — tak się czuję znużony... a tu tak gorąco, że...

— Chodźmy, chodźmy; mamy już dosyć tego widoku.

— Nie, nie; ale możebyśmy się z jakie pół godziny przedrzemali? Pół godzinki tylko! — dodałem proszącym głosem, widząc, że moja propozycya nie trafia do jego przekonania.

— No, dobrze — rzekł wreszcie. — Ale

nie dłużej. A ja tymczasem spróbuję odcyfrować resztę rękopisu... i poszukam, czy się gdzie nie znajdzie jakie źródełko, przyniósłbym ci wody w butelce. — Butelka z wina już była pusta.

Otworzył kozik wiszący mu u pasa, naciął gałązek kosodrzewiny i owinąwszy je pledem, podał mi tę poduszkę pod głowę. Gałązki kosodrzewiny są tak elastyczne, że zastąpić mogą najdelikatniejsze sprężyny.

Podziękowałem mu za tę przysługę i wybrawszy najcienistsze miejsce pod krzakiem, przygotowałem sobie legowisko. Upał doskwierał nieznośny. Zrzuciłem serdak, zrzuciłem surdut i kamizelkę...

Antoś wybuchł szalonym śmiechem. Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Przypomniałem sobie — rzekł, dusząc się od śmiechu — twoją propozycyę skręcenia dla mnie liny ratunkowej z twego odzienia!... Przepraszam cię! jesteś taki dla mnie dobry, taki nad wyraz poczciwy... a ja... ja taki... łobuz!... Doprawdy, aż mi wstyd tego, co robię... No, ale nie będziesz się na mnie gniewał?... Przyrzeknij mi, że nie będziesz!

— Przyrzekam... przyrzekam...

Zasnąłem.

Spałem w najlepsze, gdy mnie obudziło lekkie szarpnięcie ramienia i usłyszałem głos Antosia:

— Jest woda, pij!



Przetworzyłem oczy i — zamknąłem je znowu, obróciwszy się na drugi bok.

Nie wiem jak długo spałem, pewnie co najmniej półtory godziny. Gdy się obudziłem, Antosia nie było. Oglądnąłem się wkoło i ujrzałem o parę kroków... jakąś dziwną, nizką a grubą postać, z której w pierwszej

chwili nie umiałem sobie zdać sprawy. Karzeł? czy kretyn, gnom jakiś potworny?

Ubrany w serdak, w kapeluszu na głowie, twarz miał śmiertelnej bladości. Prawe ramie wyciągnięte jak drogoskaz, lewem bok podpierał. Z pod ubrania, sięgającego aż do ziemi, wyglądał but.

Poznałem to szare ubranie i ten kapelusz: Antoś wetkniętą w ziemię *ciupagę* ubrał w mój serdak i w surdut, wypchał kosodrzewiną i nakrył moim kapeluszem. W prawym wyciągniętym rękawie umieścił grubszą gałąź, a twarz urobił z papieru. Dwoje w niej ogromnych oczu, to były dwie szyszki. Z pod ubrania wyglądał but, który mu pozostał z przeprawy nad przepaścią. Do kapelusza przymocowana była kartka z temi słowy: »Wrócę za pół godziny«.

Wrócił w niespełna dziesięć minut, zgrzany, zziajany, jakby całe Tatry zbiegał.

— Gdzieżeś był? — zapytałem.

— Masz wodę! zimna jak lód! — i podał mi przyniesioną butelkę.

— Dziękuję ci. Ogromne mam pragnie-

nie... ale czy mi się śniło, żeś mnie budził i wołał: jest woda! pij!

— No, tak — odparł z niechęcią — ale spałeś, a tamta tak się ociepliła, że poszedłem po świeżą.

— Dwa razy po wodę dla mnie chodziłeś? Dziękuję ci serdecznie! — wychyliłem dwie czarki, jednę po drugiej — Wyborna! Ale gdzież to tę wodę znalazłeś?

Powiedział mi miejsce.

— Ależ to pół godziny drogi!

— Niema i kwadransa.

— Bardzo jesteś poczciwy, mój Antosiu!

— A mój manekin jak ci się podobał? Co? Możnaby go do Wiednia posłać... do Rady Państwa? »Stoi i stać chce«, a rękę do góry podnosi, toby i głosować potrafił.

— Daj pokój, gotówby tam jeszcze drugi but zgubić.

— Cóż teraz będziemy robić? pójdziemy ztąd, czy będziemy dalej czytać memoryał pana Baczmahy?

— Słońce jeszcze wysoko, wolimy tu upał przesiedzieć. Czytajmy. A ty próbowałeś odczytywać resztę?

5*

— Wszystko odczytałem, co się dało, i będę ci czytał płynnie.

I zaczął czytać. — —

Jeźli początek pisma budził powątpiewanie co do jego autentyczności, to jego ciąg dalszy zmienił je wręcz w fantastyczną bajkę z tysiąca i jednej nocy, — tylko, że tęczową wyobraźnię Szecherezady, zastępowały tu upiorne widziadła trapisty, żywcem złożonego do grobu.

Opowiadanie Baczmahy przypominało wrażeniem grozy, słynne obrazy belgijskiego malarza »Ostatnie marzenia ściętej głowy«, — przypominało także poemat o *Piaście Dantyszku*... Pomysły Baczmahy miały wszystkie cechy chorobliwych pomysłów ze schyłku romantycznej epoki. Język jednakże i grafika nosiły tak wyraźny i tak wiernie w każdym szczególe zachowany charakter pism z połowy przeszłego stulecia, że co do czasu powstania tego rękopisu, trudno było stanowcze powziąć zdanie.

Ponieważ treść tego opowiadania spisuję z pamięci, a raz je tylko słyszałem czytane, nie myślę bynajmniej silić się na odtworze-

nie go wierne w szczegółach, a tem mniej starać się je spisać w języku XVIII. wieku. Treść tylko podaję, o ile zapamiętam.

Otóż szlachcic opowiada, że wydostawszy się prawie na szczyt góry, którą mu nazwano *Stara Robota*, (a komu znane Tatry, uderzy go tu nieprawdopodobieństwo, aby tą drogą uciekano do Węgier przed nieprzyjacielem), podczas gdy rodzina jego i towarzysze zaczęli się zniżać ku przełęczy, on zatrzymał się chwilę i wybiegł na kopczyk, aby ztamtąd lepiej zaobserwować, czy już bezpieczni są od pościgu, a przytem raz jeszcze rzucić wzrok pożegnalny na ukochaną krainę.

Kiedy schodząc z tego kopca, postawił nogę na szerokim płaskim głazie, zdawało mu się, że dostrzega jakiś na nim wykuty a zatarty napis; pochylił się, czy chciał się pochylić, aby go odczytać, gdy wtem...

Co dalej się stało, niepomni. Usłyszał jakby blizki odgłos strzału, uczuł jakby mu się ziemia z pod nóg usunęła... i nagle zrobiło się zupełnie ciemno, tchu mu zabrakło i stracił przytomność...

Ile czasu upłynęło zanim przytomność od-

zyskał, nie jest mu wiadomo, przypuszcza jednakże, że minęły... tygodnie, miesiące, a może i długie lata...

Uczuł, że żyje i cierpi niewypowiedzianie, ale ta świadomość życia nie była taka, jaką znał dotąd, jaką się posiada na wierzchu ziemi, lecz inna, zupełnie inna.

Powietrza tam nie było w tej otchłani i nie oddychał. A jednak żył i cierpiał boleśnie straszną mękę. A może było tam powietrze jakieś inne, gazem ciężkim przesycone, którem człowiek oddychać zrazu nie może, dopóki nie przywyknie, tak jak niemowlę, które przyszedłszy wśród męczarni na świat, częstokroć z początku nie może oddechu zaczerpnąć i leży jak martwe, dopóki się oddychać atmosferą ziemską nie przyuczy.

Ocknąwszy się, ujrzał, a raczej uczuł się w pozycyi stojącej, nieco na lewy bok przechylonej. Nogi miał zagrzęzłe blizko po kolana w jakiejś gęstej glinie. Wyciągnąć ich nie mógł, czucie prawie w nich stracił, a kolana tak mu źdrętwiały i zesztywniały, że nie mógł ich zgiąć, aby usiąść lub położyć się. Lewą stroną opierał się o ścianę z ta-

kiejże samej gliny. Bezwładny, tylko w kręgu pacierzowym i w ramionach miał jeszcze władzę.

Ogarnęło go niewypowiedziane przerażenie i trwoga. Czuł, że mu włosy stają na głowie. Zdawało mu się wówczas, że chwila dopiero upłynęła od zapadnięcia się w przepaść. Cały czas, przez który był pogrążony w bezprzytomności, nie istniał wcale dla niego, nie zostawiając śladów w umyśle.

— O Matko Najświętsza!... O Jezu Nazareński! — wołał raz po razu i wzywał imię swego patrona.

Zebrał całą przytomność i zaczął rozmyślać nad środkami ratunku. Towarzysze jego, których był opuścił, nie mówiąc dokąd idzie, nie spostrzegli jego nieobecności i w trwożliwym popłochu spieszą naprzód, aby co prędzej stanąć na ziemi bezpiecznej. Skoro się obaczą, że go między niemi niema, nie nałożą głową aby się wrócić po niego, tem bardziej, że nie wiedzą, gdzie go szukać i przypuszczać będą niezawodnie, że zginął od kuli nieprzyjacielskiej. Daleko już być muszą, a z tej niezgłębionej przepaści, gdzie nawet promyk świa-

tła nie dochodzi, nie usłyszeliby jego wołania!

Z nogami zagrzęzłemi w glinie, których wyciągnąć nie może, niema mowy o wydobyciu się bez ludzkiej pomocy, a o ludzkiej pomocy w tem miejscu marzyć nawet niepodobna.

Cudu! cudu Bożego wzywałem — pisze p. Baczmaha — jak ongi ów Daniel w lwiej jaskini. I modliłem się, całując szkaplerz, który nosiłem na piersi, i omdlewałem z wielkiej boleści, jaka przejmowała wszystkie członki moje i trwogi serdecznej przed straszliwą śmiercią.

I omdlewał i znowu cucił się do życia. I wreszcie stracił nadzieję i zaczął odmawiać modlitwy umierających, wzywając zmiłowania Bożego i o lekką śmierć prosząc i o wybawienie duszy grzesznej, przez zasługi umęczonego na krzyżu Syna Bożego.

To znowu rozpamiętywał o dziateczkach swoich, o cnotliwej małżonce i o matce staruszce i o braciach. I żal go zdjął wielki, gdy przypomniał, jak w czasie ucieczki w góry, córeczka jego mała, wśród najgęst-

szych strzałów nieprzyjaciół, w dziecięcej niewinności swej zwracała tylko uwagę na kwiaty górskie, rosnące nad urwistemi ścieżynami i wołała:

— Kwiatki! jakie śliczne kwiatki!...

Pragnienie straszne palić mu zaczęło usta i głód dokuczać.

Uczuł wilgoć na skroni, która się o ową gliniastą ścianę opierała. Zwróciwszy więc głowę, przechylił ku tej ścianie usta i zatopiwszy w niej zęby, jak dziecko pierś matczyną, chciwie ssać ją począł. Z początku smak tej wody wydał mu się obrzydły, zwolna jednak, nękany pragnieniem, przywykał do niego i upodobał sobie. Czuł, że mu nietylko gasi pragnienie, ale poniekąd i głód nasyca. Przyszło mu więc wtedy na myśl to, co mu w obozie opowiadał niegdy niektóren Arciszewski, którego antenat, niegdy Columbus wtóry i słynny podróżnik po zamorskich światach, zapisał w swoim raptularzu notycyę, że poznał dzikie ludy leśne, które w latach nieurodzaju, żywią się i od głodowej śmierci chronią, jedząc pewien osobliwy rodzaj gliny i dobrze się z tem mają, tylko

ociężali bardzo ku chodzeniu i do pracy nieskorzy. »Otóż przyszło mi na myśl, że to może taka sama była glina jak owa, z której ja soki wysysam i spróbowałem ją spożywać. Zrazu ciężko mi było ją przełknąć przez gardło, ale głód to największy mocarz i monarcha tego świata, a jego woli nikt się nie oprze. Nawykłem więc i do tej strawy nikczemnej i dzięki Bogu Wszechmocnemu, już sporo lat się nią żywię.

»A teraz — pisze dalej Baczmaha — niech Imię Boskie będzie pochwalone, bo to co opowiem, jest tak horribile i tak incredibile, tak straszliwe i tak niesłychane, a takim wielkim cudem Bożym, że od zrośnięcia się ciała św. Stanisława Biskupa, posiekanego w kawały, cudu większego chyba żadna kronika świata nie zapisała. A jeźliby kto moim słowom wierzyć nie chciał, to niechaj zważy, że człowiek jak ja na śmierć powolną zkondemnowany w otchłani przepastnej i w ciemnościach podziemnych jak ja pokutujący i zmiłowania Bożego wyglądający, marnym wymysłem i bajką zajmować się nie jest skory, a mając kilka zaledwie już kroków

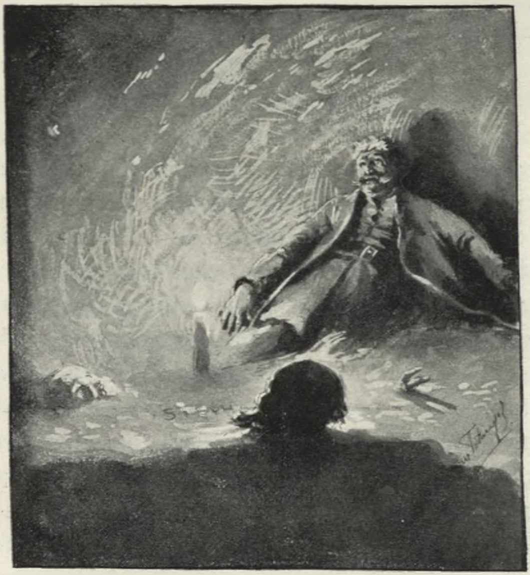
do Trybunału najwyższego, na całą wieczność ferującego wyroki, nie skala ust swoich bezwstydnem kłamstwem, z którego i tak prócz marnej chwalby, żadnegoby nie mógł odnieść pożytku.

»Modliłem się summo cum terrore animae o cud Boży, nie determinując w modlitwach bliżej tego cudu, i oto cudu dostąpiłem Pańskiego, acz innego, niż oczekiwałem. Mea culpa, mea maxima culpa. Dekretów swoich Najwyższa Mądrość nie cofa i już przy tym cudzie, jaki na własne oczy ujrzałem, pozostać musi. Acz innego cudu expectavi, wielkie Imię Twoje, żeś mnie godnym uznał, abym widział co widziałem, a czego żadne oko ludzkie nie widziało dotąd, ani ucho nie słyszało.

»Od chwili zapadnięcia w tę otchłań, w całem ciele srogie nieustannie cierpiałem męki, a ruch każdy był mi najbardziej bolesny. Modliłem się i rozpamiętywałem, i posiliwszy się gliną, usypiałem, a obudziwszy się, znowu się modliłem i rozpamiętywałem. W ciemności tej nie znałem dnia ani nocy, ile tak spędziłem godzin i dni i miesięcy, ile lat tak

przetrwałem, jak słup żywy wmurowany w ziemię, o tem nie wiem zgoła. W tej jednakiej zawsze ciszy grobowej, przerywanej tylko głośną modlitwą moją i westchnieniami, czasu nie liczyć. Nadstawiałem nieraz ucha, czy mnie głos jaki nie doleci i raz tylko jeden wiem na pewno, że słyszałem grzmoty Boże, bo i góra cała się trzęsła. Ale czasem, gdy kończyłem modlitwy moje, to zdawało mi się, że zanim wyrzekłem słowo »Amen!« już je czyjeś usta wypowiedziały szeptem zaledwie dosłyszalnym, a tak cichym, jak najmniejszej muszki brzęczenie. Raz jeden nawet zapytałem: »Kto tu jest?« ale żadnej nie dosłyszałem odpowiedzi. A nie będąc z natury skłonnym do urojeń bujnej fantazyi, ale biorąc rzeczy wszystkie zdrowo i trzeźwo, wiedziałem, że to brzęczenie, które mi się słyszeć zdawało, gdy skończywszy modlitwę, zatrzymałem się przed słowem »Amen«, nie jest to ludzki głos, bo zkądby się tam wziął człowiek? i nie jest głos anielski, bo gdyby Stróż anioł modlitwie mojej chciał domówić koniec, toby głośniej i wyraźniej przemówić potrafił. Wiedziałem, że to odgłos moich wła-

snych słów mnie tylko dolata od ścian pieczary odbity, a w uchu odzywa się owo



szeptanie, które mi tam pozostało od czasu jak mnie skarogniada kobyła pana Sarnickiego zrzuciła z siodła i uderzyła w głowę kopytem, za co ją pan Sarnicki w pierwszym impecie gniewu z krucicy trupem położył,

a o czem się dopiero w sześć tygodni przyszedłszy do zdrowia, z żalem dowiedziałem, posyłając panu Sarnickiemu dla powetowania straty, w darze mego kasztanka.

»Temu szeptaniu w prawem uchu, na które żadne medykamenta ani nawet zamawiania nie pomogły, przypisywałem także ten szmer wody, który mi się zdawało raz usłyszeć jakby dochodzący z jakiejś głębokiej przepaści o kilka kroków odemnie. Ale że się to stało właśnie w tym czasie, gdy z ściany większa niż zwykle sączyła się wilgoć, zdawało się prawdopodobnem, że może po wielkich deszczach lub w czasie tajania śniegów, strumień w przepaści płynący, jeźli to był strumień, nabrzmiawszy, głośniejszy niż zwykle szmer wydaje, tak iż go mogłem usłyszeć. Nie mogąc więc w tej kwestyi do żadnej dojść pewniejszej konkluzyi, uskubywałem zwolna z glinianej twardej ściany paznogciem grudeczki i skoro się nazbierała taka gruda jak jabłko, urobiłem z niej kulę w dłoniach, co z powodu boleści, jaki mi każdy ruch sprawiał, z wielką mi przychodziło trudnością, i rzucałem w tę stronę, zkąd

mi się szmer wody dochodzić zdawał. Codzień może jedną taką kulę glinianą wysełałem na zwiady, to w tę, to w ową stronę, to bliżej ją rzucając, to dalej, i może już sto i więcej może razy to byłem uczynił, gdy raz, ku wielkiej radości mojej, usłyszałem po dłuższej ciszy wyraźne głośne wody pluśnięcie. A więc kula wpadła do wody, a tam w głębi tej przepaści płynie strumień, który gdzieś na świat boży wypływa«.

I odtąd ciągle budziła się w duszy p. Baczmahy ta myśl, że oto strumień ten ze światem żywych ludzi go łączy. Nie dawała mu spokoju i przeszkadzała w modlitwie. Cudu tylko bożego wzywał, »nie determinując« bliżej, jakiego cudu pragnie i sam sobie nie zdając z tego sprawy.

Pewnego dnia, czy pewnej nocy, (niewiedzieć nigdy, czy dzień czy noc na świecie), opuściwszy ramiona, poczuł, że palcem dotyka już ziemi. Przeraził się wielce, że tyle już zagrzęzły mu nogi głębiej w glinie, bo już sięgała mu powyżej kolan. Tak to on cały w tej glinie zwolna zagrzęźnie, zatonie i schowa się w niej na wieki. Strach go zdjął

wielki na tę myśl. I powiedział sobie: nóg twoich dyby te nie puszczą i nie masz siły, aby je wyciągnąć, ale zdrapałeś już paznogciami tyle gliny ze ściany twego więzienia i urabiasz z niej gałki i rzucasz w strumień, aby posłyszeć miłe pluśnięcie wody, czemużbyś nie miał skubać ziemi z pod siebie i rzucać ją precz, abyś z czasem nogi swe uwolnił?

Zabrał się tedy do pracy wielkiej a ciężkiej, bo ruch każdy i przegięcie ciała niewypowiedziane sprawiało mu męki. Pomocy boskiej wzywał i pracował, pracował dni i noce, a z trudu i bolu pot kroplisty spływał mu z czoła po twarzy. Jęczący pracował i odmawiał godzinki.

I trwało to długo, może miesiące, może lata całe.

Ale w miarę jak większy wkoło siebie dół odgrzebał, ciężarem swoim uciskana glina, od tej strony gdzie wznosiła się pochyło ku górze, a po której zapewne on sam w przepaść się zesunął, usuwała się i ulegała znowu i w jednym dniu niszczyła, nad czem on miesiące pracował.

On jednakowoż pracował dalej, jak ów ho-

merowy potępieniec, napróżno wtaczający skałę na wierzchołek góry.

Aż pewnego razu, ciężko spracowany, gdy usnął, uczuł we śnie, że glina znowu z góry usunęła się i do kolan mu przylgnęła. I gdy wyciągnął rękę, aby namacalnie przekonać się ile znowu jego pracy zmarniało, nagle uczuł pod ręką jakiś przedmiot, zupełnie inny w dotknięciu, który się zsunął na niego. Z bojaźnią pewną dotykać go zaczął, bo mu się zrazu wydało, że się porusza. I oto wielką a niespodziewaną radością uderzyło mu serce, bo łaska Boża widocznie się dlań objawiła: poznał własną tajstrę swoją z borsuczej skóry, którą był postradał, wpadając w przepaść.

I kiedy ją otworzył, domacał się w niej z rozrzewnieniem wielkiem, różnych przedmiotów, zabranych z domu w pospiesznej ucieczce: ryngraf ojcowski, kordelas myśliwski, i krzesiwko, i chleba kawał, i flaszeczka z cudownemi kroplami, i szmat nieco, i puszka z pergaminowym klejnotem szlachectwa, i owa gromnica, którą, dom opuszczając, zabrał w ostatniej chwili z matki swej rozkazu. . . . .

. . . .

Na wyliczaniu przedmiotów, znalezionych w tajstrze, urywał się ten ustęp rękopisu, a raczej stawał się tak niewyraźnym, iż kilkanaście dalszych wierszy odczytać było niepodobna.

W dalszym ciągu jest wzmianka o kawałku chleba znalezionym w torbie. Odwykłemu od strawy ludzkiej szlachcicowi, smak jego wydał się obrzydłym i spożyć go nie mógł.

Następuje opis mozolnych usiłowań rozniecenia ognia i zaświecenia gromnicy za pomocą odzyskanego krzesiwa. W wypełzłym manuskrypcie, z pojedynczych, dających się odcyfrować wyrazów, domyślać się tylko można, że dłuższy ustęp temu przedmiotowi poświęcony.

...»od tego blasku — pisze Baczmaha — olśniony, ślepłem i zdawało mi się, że świat się cały zapalił jak słońce i ja od tego słońca się palę. Prócz blasku samego, nic nie widziałem zgoła, a gdy zagasł, to jeszcze go widziałem i rozglądałem się w ciemności, dziwiąc się, że nic nie widzę pomimo takiego blasku, od którego oczy bolą. I tak gasł mi ten ogień marnie ile razy mi się go roznie-

cić udało, co z wielkim przychodziło trudem, a gromnicy od niego zapalić nie mogłem przez długi bardzo czas, nie wiem ile dni czy tygodni, że już prawie krzesiwka nie stało i....

Aż wreszcie oswojonemu już nieco z wrażeniem światła, gdy zebrał całą odwagę, wezwawszy gorąco pomocy swego patrona — powiodło się zaświecić gromnicę!

Zapłonęła, a on aby nie stracić przytomności, zamknąwszy powieki, na omacki odszukał przygotowane dla niej w glinie miejsce i ustawiwszy ją bezpiecznie, dopiero odważył się oczy otworzyć. Otworzył i musiał zamknąć natychmiast: nie był w stanie znieść tej jasności, w której wszystko migotało mu przed oczyma i czuł, że mu zawraca się głowa i że wyczerpany na siłach emocyami, jakich w dniu tym zaznał, gdyby chciał patrzeć bez wytchnienia, toby zmysły postradał. Otwierał oczy i zamykał i nic niewidziawszy jeszcze, prócz majestatu jasności olśniewającej, przed którym człowiek jak przed cudem Bożym w proch pada, znużony, postradał świadomość i usnął lub omdlał.

Zanim się przebudził, spory kawałek gromnicy już się był upalił. Lżej mu już było patrzeć, choć wszystko zdało mu się lśnić przepychem złoconych świetlic królewskich, w których przedmiotów nie rozróżnisz łatwo, bo wszystko się błyszczy. Podziękował Bogu za doznaną łaskę i zaczął się zwolna rozglądać.

Tuż obok niego, po prawej, ustawiona była gromnica, — w tę stronę spoglądać jeszcze nie mógł, odwracał się od jej płomyka. Na lewo była lśniąca od wilgoci stroma ściana ciemnej gliny, o którą głowę opierał znużony, zakreślająca nad nim w górze wysoki łuk sklepienia, tonącego w mroku. Spojrzał poza siebie i ujrzał gładką z tej gliny pochyłość, wznoszącą się ku górze coraz wyżej, — po tej pochyłości on się tu zapewne zsunął w przepaść z powierzchni ziemi. Spojrzał na wprost przed siebie: tam owa pochyłość, w środku której się znajdował, obniżała się w dół znacznie powolniejszym spadkiem, a o kilkanaście kroków, sklepienie zamykało pieczarę szarawą ścianą: tu, poniżej tego spadku, musi być czeluść, na której dnie cie-

cze ów strumień podziemny, do którego udało mu się kilkakrotnie dorzucić pocisk. Gdyby nogi wydobyć z tej grząskiej gliny i zesunąć się tą czeluścią do strumienia, podziemnemi drogami wydostaćby się można na Boży świat!

Spojrzał teraz na prawo, w stronę, gdzie ustawił gromnicę. Ściana przeciwległa, lśniąca, jak ta, przy której zagrząsł, odległa była zaledwie o pięć kroków...

»O Jezu miłosierny! o wszyscy Święci Pańscy! co ja tam ujrzałem! Cud, którego niczyje jeszcze nie widziały oczy i uszy nie słyszały!

»Na ziemi, o trzy kroki zaledwie odemnie, ujrzałem uciętą niby głowę człowieka, żywemi na mnie patrzącą oczyma! Jakby z ziemi wyrastający grzyb, zwracała ona ku mnie teraz szerokie łyse czoło, okolone srebrnym włosem i oczyska swe błyszczące. Złowrogo poruszała owisłemi brwiami. Wychudła twarz, niby czaszka trupia z przyschłą do kości skórą, świeciła od blasku gromnicy, a w pośrodku tej twarzy, w głębokich oczodołach, te żywe dwie wielkie latarnie.

— »Wszelki duch chwali Pana Boga! — zawołałem przerażony, robiąc znak krzyża świętego.

»Nie usłyszałem odpowiedzi, ale poruszyły się usta tego trupa, jakby mówić jeszcze pragnące, a głosu już wydać niezdolne. Ujrzałem tylko widne z poza nich szczerbate zęby i język mlaskający w gardzieli. Źrenice białkiem świecące, zwróciły się pobożnie w górę. I jakby wyczerpane tym wysiłkiem, blask swój tracąc, niby senne, przysłoniły się powiekami.

»I ja przymknąłem oczy, aby przyjść do siebie po tak strasznem widzeniu i zebrać myśli moje. A zanim je znowu otworzyłem, spory kawał gromnicy już się był upalił. Ale wiedziałem już wszystko i zrozumiałem wielkie sądy Boże. Oto cud się stał nademną i ukazał mi Sędzia Najwyższy, że tak oto jak ja w ziemię grzęznę i zapadam, zapadają i inni, wzywając miłosierdzia Bożego i wielbiąc Imię Pańskie, i że wspólny nam wszystkim jest koniec. Pulvis es et in pulverem reverteris. I otworzywszy oczy, ujrzałem teraz już nie jedną, ale dwie pary źrenic na mnie patrzące;

jedną tę, co wprzódy, a drugą głowę po same oczy zapadłą już w ziemię. Białe jak mleko



kędziory rozlały się szeroko wkoło niej, z pośród których widniała owa tonzura, jaką starość uświęca głowy ludzkie; z boku wąs jeden siwy sterczał jeszcze z pod ziemi. Te

już oczy spokojnie i łagodnie spoglądały na mnie i nie było w nich takiej żałości i przerażenia, jak w źrenicach pierwszej. Owa pierwsza głowa, z swym losem widocznie dotąd nie pogodzona, zwracała się na szyi swej to w tę, to w ową stronę, zamiatając ziemię zwichrzoną brodą, oblepłą grudkami gliny. Oczy straszliwie latały w orbitach z wyrazem rozpaczy, a zęby zgrzytały czasem, klekocząc ze strachu. I znowu zamykały się powieki na chwilę i otwierały się znowu. Tonąc w ziemi, starzec ten widocznie długo ratować się pragnął i wyciągał w górę ramiona, aby się na powierzchni utrzymać. I oto na długość ramienia przed tą głową, ujrzałem sterczące jeszcze z gliny trzy zmartwiałe palce, na których długie, żółte jak szpony, urosły paznogcie...

»Mrowie przeszło po mnie i strach mnie ogarnął wielki, a włosy się na głowie zjeżyły. To ja tak tonąć będę bez ratunku, to ja tak wydzierać się z ziemi rozpacznie, to mnie tak jak ich niedługo ziemia pochłonie!

»Jezu w miłosierdziu nieprzebrany, puść w niepamięć ciężkie grzechy moje, iżem w tej

chwili usłuchał podszeptów szatańskich, że bunt wielki przeciw dekretom Twoim podniósł się w mej duszy i wyrzekać począłem na tyrańską tego dekretu okrutność, która rodzić się każe ludziom, gotując im męki za życia i śmierć potem straszliwą!

»Zaświecił mi w oczach kordelas wydobyty z tajstry, — a był to ten sam, którym niegdyś w passyi grzesznej zraniłem był ciężko sławetnego Szymona Zacharyasiewicza, że mi litego pasa słuckiego na kredyt dać nie chciał, przedrwiwając sobie z mojej fortuny i parenteli, i na verbum nobile niechcąc poprzestać. I wymachując kordelasem nad głową, zawołałem:

— »Nie bójcie się moi mili, ktokolwiek jesteście! Ja was wybawię od śmierci nikczemnej, ja was ocalę z tej toni, wywiodę was z tej otchłani!

»I nie zważając na straszliwe bole, które każdy ruch budził w członkach moich, zacząłem z nieludzką zaciekłością okopywać kordelasem rów w okół siebie, aby nogi moje ze stężałej gliny wyswobodzić.

»I za dopustem Bożym, glina nie usuwała

się jak pierwej, ale rów urastał wkoło mnie coraz głębszy, już poniżej kolan. A uderzając ostrzem w glinę stwardniałą, obawiałem się tylko, aby niebacznym ciosem nóg nie skaleczyć.

»Aż oto naraz uderzył kordelas w coś twardego. Sięgnąłem tam ręką, sądząc, że wydobędę kamień, i oto, Chryste Panie, wydobyłem... któżby uwierzył?... kość własnej mojej goleni! Ciało już było z niej odpadło, a kość wpół przepróchniała, kruszyła się w ręku!...

— »To ja już umarłem w połowie? to ja już próchnieję? to ze mnie już proch i glina?

»I wielka ogarnęła mnie rzewność i żałość goryczy pełna, a nieopamiętana, i wielkim zaniosłem się płaczem.

»A szatan robił swoje. I rzekłem w niecierpliwości ducha:

— »Azaliż mam w boleściach nieznośnych konać dni, miesiące i lata, i niewiedzieć noc to jest czy dzień, i patrzeć jak ludzie się zapadają pod ziemię, czekający rychło się sam zapadnę? Nie, wolej sam skrócę mękę żywota i oczekiwania śmierci, i przybliżę sobie wy-

bawienie z katuszy. A jeźli i duszę udręczyć zechcesz, Boże, ku zabawie swojej, to w najgorętszy się rzucę ogień piekielny, gdzieby, jako dręczysz ciało, i dusza spłonęła, jak ćma w świecy, i na wieki przestała żyć i cierpieć!

»I podniosłem rękę przeciwko sobie, a tym kordelasem, którym byłem ongi pokaleczył pana Zacharyasiewicza, usiłowałem piekielnej Atropy na sobie spełnić rzemiosło.

»Ale miłosierdzie Boże niewyczerpane nie dopuściło mi dokonać grzechu tego. Nie miałem już tyle siły co dwuletnie dziecię, i nawet w pierś własną brzeszczotu wtłoczyć nie byłem mocen. Zaledwie się zraniłem raz i drugi, przeciąwszy skórę i ugodziwszy w żebro, a ręka jak bezwładna mi owisła.

»Ale szatan wobec tego wyraźnego znaku woli Pańskiej, nie ustąpił, i raz wziąwszy nademną panowanie, opamiętać się nie dał. Więc w poczuciu własnej bezmocy, która mi nawet tyle nie zostawiła siły, aby własnego pozbyć się żywota, szałem dzikim opętan i wściekłością, podniósłszy ręce nad głową, zakląłem strasznem bluźnierstwem i trzymany w dłoni kordelas, rzuciłem w przepaść.

»A kordelas niedołężną rzucony na oślep ręką, utkwił w przeciwległej ścianie, tuż nad głową oną starca, który w glinie zagrzązł już po szyję. I spojrzawszy w to miejsce, ujrzałem tuż poniżej napis starannie wygnieciony w glinie:

STEPHANUS BA . . . . .

. . . .

. . . . . OBIIT . . . . .

później kilka wierszy, których dojrzeć nie mogłem i rok:

A. D. MDCLXVI«.

Cyfra ta wyraźnie przemawiała do p. Baczmahy: oto z górą sto lat już, jak starzec ten podobnej do ciebie zaznawszy przygody, zapada się ciągle w ziemię, a jeszcze dotąd głowa sterczy nad powierzchnią, tak i tobie sto lat jeszcze grzęznąć i grzęznąć wciąż głębiej i pruchnieć, zanim i czaszka w ziemię się schowa ku spróchnieniu.

Tyle cię czeka lat pokuty, a potem pójdziesz na potępienie wieczne, jeźli się nie odrodzisz w Panu ku zmartwychwstaniu do wiecznego żywota.

I skruszyła się duma jego od tego wyroku, a gdy raz jeszcze spojrzał na ów napis i kordelas tkwiący nad nim w ścianie błyszczącą



klingą, dojrzał z okropnem przerażeniem, że ugodził on właśnie w miejsce, gdzie powyżej napisu wyryty był znak krzyża Pańskiego.

Trwogą straszną przejęty, ugiął się wtedy

Baczmaha w skrusze wielkiej i w uznaniu win swoich, bić się począł w piersi, aże krew z ran jego trysnęła, tak, że ją przyłożeniem gliny cudownej i szkaplerza św. utamować musiał.....

W tem miejscu wypełzłe pismo zwilgłego pergaminu zupełnie stawało się nieczytelnem. Domyślać się tylko można, że resztę żywota poświęcił surowej pokucie. Jest tam wzmianka o biczowaniu się rapciami, które mu pozostały z karabeli, postradanej przy zapadnięciu w przepaść. W dalszym ustępie jest znowu mowa o ponownem zaświeceniu gromnicy, celem spisania memoryału. Widocznie więc był ją zgasił. Niejasna wzmianka o przechowywaniu szmat spalonych, pewnie do tego ustępu się odnosi. Wreszcie wspomina o powzięciu postanowienia spisania przygody swej na klejnocie szlachectwa, i o przygotowaniach, jakie w tym celu czynił. Najciężej mu było z *inkaustem* krwye własney, bo jej już prawie w żyłach nie stało. Gdy się zabrał do pisania memoryału, zagrzązł już był wtedy w glinie prawie do pasa, i pisząc, łokciami się na niej opierał. Głowy obu jego niezna-

nych towarzyszy już schowały się były wtedy w ziemię, u jednej tylko widne było jeszcze czoło, fałdujące się czasem zmarszczkami i brwi gęste pod tem czołem, podnoszące się niekiedy w górę, jak bywa u żywych ludzi przy wielkiem myśli natężeniu. Za szczęśliwą dla siebie oznakę przyjęcia pokuty i przebłagania obrażonego Boga, poczytał pan Baczmaha tę okoliczność, że utkwiony w ścianie kordelas, ztamtąd wypadł i zwolna zapadł się w ziemię.

Memoryał kończy p. Baczmaha pobożnem upominaniem czytelników i błaganiem Boga, aby raczył puścić w niepamięć przewiny jego i grzeszne pragnienie śmierci, i dozwolił mu jak najdłużej utrzymać się na powierzchni, dając mu możność odprawienia zupełnej pokuty. Dla pokuty tylko, dla pokuty pragnie on przedłużyć żywot swój, a nie dla samego żywota, który jest dla niego prawie nieprzerwanym ciągiem nieznośnych boleści. »Wprawdzie i taki nawet nikczemny żywot miłym jest człowiekowi i nie radby się z nim rozstać, gdy widzi blizkość rozstania, — ale nie tyle o żywot mu idzie, jak o żywot wieczny. Życie ziemskie jest tylko drogą do bram

wieczności, a ta właśnie ścieżka najpewniej tam wiedzie, która jest najdłuższa. Dajże mi Boże jak najdłuższą«.

»Bóg w łasce swojej wtrącając mnie do tej ciemnej otchłani, abym odprawił pokutę, dłuższy mi dał żywot, niż ludziom na powierzchni ziemi chodzącym w świetle słonecznem, bo oto zapadając się zwolna w ziemię, po towarzyszach mej niedoli sądząc i po napisie na ścianie, zapadać się będę przez sto lat i dłużej. Dzięki Ci, Boże, za ten cud, jaki na mnie okazałeś, w przedłużeniu w taki niepojęty sposób żywota mego, któregobym za żywot świecki nie zamienił, choćby mnie tam królewskie czekały pokoje!

»Życie człowieka jest tylko powolnem zbliżaniem się do śmierci, jakby całe umieraniem tylko było od kolebki. Oto ja się zapadam w ziemię coraz głębiej i patrzę ciągle na koniec jaki mnie czeka, a ludzie tam na świecie zapadają się także z każdą życia chwilą, tylko zapadania się swego nie widzą i nie czują... Chwała bądź Panu na Wysokościach. In saecula saeculorum. Amen«.

A potem jeszcze dopisek, ledwie czytelny:

»Po raz ostatni zapaliłem gromnicę, aby dogorzała na pogrzebie moim. Bądź Panie



miłościw duszy mojej, a światło... Już po pachy zagrząząłem. Może sto lat i więcej upłynęło, wszystko co świeckie z żywota mego,

tonie mi w niepamięci z każdą chwilą bardziej. Niepomnę już imion dzieci moich... azali je miałem... i sióstr i braci... ani ojczystej strony... i własne nazwisko rodowe rychło zapomnę... Pamięć zamiera zwolna... Chwała Bogu...«.





II.

Schodząc upłazami ku dolinie, żywo rozprawialiśmy o odczytanym dopiero rękopiśmie.

— Więc tylko fantazyę w tem widzisz i nic więcej? — zapytał Antoś.

— Dziką cmentarną fantazyę, wybujałą w kierunku romantycznym naszego wieku.

— To w takim razie może i Piekło *Boskiej Komedyi* do XIX wieku zaliczysz?

— Ależ zlituj się! cóż za porównanie!

— No cóż? ja nie kładę na równi Baczmahę z Dantem, tylko twierdzę, że fantazyowanie takie »cmentarne«, jak się wyraziłeś, nie jest wyłączną właściwością epoki ro-

mantycznej. Śmierć zawsze jednako wyglądała, trupy jednako zawsze gniły w ziemi... od czasu jak je na stosach palić przestano. Poetom takim, jak Romanowski, może się jeszcze zjawić śmierć jako dziewica w bieli, do greckich posągów podobna — ale ja w opowiadaniu Baczmahy nie widzę żadnej poezyi, tylko realizm. Że te okropności, o których opowiada nieudolnie jak prostak, działają na naszą wyobraźnię, to nie stanowi bynajmniej dowodu, aby były zmyśleniem.

— Jakto? tobieby się to prawdą wydało? Sądziłbyś, że ten szlachcic istotnie wpadł do przepaści, ugrząZł w jakiejś glinie cudownej, żywił się gliną przez długie lata, nogi mu już pruchniały, a on żył i biczował się rapciami i przy świetle gromnicy pisał memoryał inkaustem krwi własnej?

Wybuchnąłem głośnym śmiechem. Antoś śmiał się także.

— Nie, — rzekł — tak nie było. Jest w tem niezawodnie wiele fantazyowania, ale nie sztucznego, tylko mimowolnego. Szlachcic wpadł w przepaść i zapadał się w glinę, ale nie trwało to przez miesiące i lata, tylko

może dni kilka. Tracił przytomność i odzyskiwał, usypiał i budził się; po prostu dłużyło mu się w tej ciemnicy, więc mu się zdawało, że to trwa wieki. Zegarka repetiera z sobą nie miał. Z głodu próbował jeść glinę i chwilowo go to nawet syciło... wszak wiadomo, że się takie wypadki zdarzają... Kałamarzyka kieszonkowego nie miał, więc pisał własną krwią...

— A te kości z własnej goleni? A ci towarzysze jego pokuty, zapadli w ziemię po szyję i po uszy?

— No, to rzecz prosta, że to były halucynacye jego rozgorączkowanej wyobraźni... wszak to nie jemu pierwszemu w podobnej sytuacyi się zdarzyło. Przywidziały mu się te głowy i koniec. Nad tem się niema co zastanawiać. A co się kości owej spróchniałej tyczy, to niezawodnie znalazł pod sobą kość jakąś, a że miał nogi już znieczulone, więc uroił sobie, że to kość jego własna. Cóż w tem tak dziwnego i niepodobnego do prawdy?

— Hm, hm, — rzekłem — dobry z ciebie adwokat. Mnie to jednak nie trafia do

przekonania. Wszystko za tem przemawia, że to rzecz podrobiona.

— Wszystko? cóż? język? pismo?

— Przeciwnie: pismo dziwnie zręcznie naśladuje manuskrypty z połowy przeszłego wieku; język... no, toby trzeba szczegółowo badać... ale wydaje mi się również dość wiernie zachowaną epoka. Ale za to treść pisma, styl, duch, charakter... wszystko!

— W s z y s t k o, to wielkie słowo, znaczy tyle co n i c. I używa się go wtedy, gdy niepodobna szczegółowych sformułować zarzutów.

— Hoho! Nie tak dalece n i e p o d o b n a. Potrzebaby rozbierać punkt za punktem, a przekonałbym cię. Przedewszystkiem rzecz jest chybiona zabarwieniem stylu, tokiem myśli. Takich uwag i spostrzeżeń nad sobą i własnemi emocyami, takiej a u t o p s y i własnej duszy nie robił nikt u nas w XVIII wieku, a tem mniej skłonnym był do zapisywania takich rzeczy. A powiedz sam, czy i dziś, gdyby kto w takiem jak ten szlachcic znalazł się położeniu, czyby się zabawiał malowaniem swoich wrażeń? To rzecz zarówno

historycznie nieprawdziwa, jak psychologicznie.

— A więc twierdzisz, że to rzecz podrobiona? Powiedzże mi: w jakim celu podrabiałby ktoś tak mozolnie dokument szlachectwa z w. XVII i spisywał na odwrotnej stronie pergaminu relacyę językiem i pismem XVIII wieku i potem rzucał to wszystko w przepaść? Wszak to nieprawdopodobne, aby kto sobie zadał taką pracę, nieprawdopodobniejsze od wszystkich nieprawdopodobieństw, które wytknąłeś! Ja pytam tylko: w jakim celu?

— Ah, to zupełnie inna kwestya.

— To właśnie jest pytanie, które samo się narzuca, gdy zaprzeczymy autentyczności dokumentu: w jakim celu podrobione? Pomijając zresztą formę, ale zastanawiając się nad samą treścią, powiedz sam, czy, gdyby kto np. dziś takie zdarzenie wymyślił i spisał, nie starałżeby się przeprowadzić jakiejś tezy politycznej lub filozoficznej? Tu ani śladu czegoś podobnego. A bez tendencyi jakiejś, to cały ten memoryał, jeźli nie opowiada prawdziwego faktu, byłby prostą banialuką!

— Tak... zapewne... banialuką, ale ułożoną z talentem, gwoli własnej i innych ludzi zabawie...

— Ciebie ona zabawiła? mnie nie. Czy sądzisz, żeby ją warto drukować?

— Niezawodnie!

— To ją wydrukujmy!...

— Ale z opisem tej naszej wycieczki...

— Nie!... bo gdyby się dokument okazał podrobionym...

— Widzę już, że zaczynasz przychalać się do mego zdania.

— O, co to, to nie! Obawiam się tylko, aby *Piekosińscy* nie zaczęli grymasić, skoro ty grymasisz. Ja jeszcze raz powtarzam, że nie widzę celu, dla któregoby podrabiano taką banialukę.

Przystanęliśmy trochę, aby odpocząć. Zdziwiony byłem, że teraz tak dobrze dotrzymuję Antosiowi kroku. Ale powód był jasny: rano szedł w obuwiu, a teraz jedną nogę miał bosą. Namawiałem go, aby i drugi but zrzucił, on jednak utrzymywał, że woli się w jedną tylko kaleczyć nogę, niż w obie.

— Mój drogi! — rzekłem, wracając do

kwestyi w jakim celu sfałszowano znaleziony przez nas memoryał. — Różne bywają pobudki ludzkie w spełnianiu czynów na pozór zupełnie bezcelowych. A czy nie czytałeś o onym uczonym francuzkim, który do złudzenia podrabiał listy Pascala i geografię pisaną niby przez Napoleona w jego latach szkolnych?

— Obstajesz przy swojem: Ałłach jest wielki, a memoryał p. Baczmahy podrobiony! Czemużby go w takim razie ów plagiator rzucił w przepaść? — i nagle zatrzymał się. — A może ty o ten plagiat posądzasz... mnie?

— Ciebie? nie. Krzywdę bym ci uczynił, a szczególnie sprytowi twemu krzywdę. Bo wszakże gdyby ci taki koncept przyszedł był do głowy, tobyś tę puszkę z memoryałem zręcznie podrzucił, tak, aby kto inny ją znalazł, a nie ty sam. Na twoich wycieczkach miałeś niezliczone do tego okazye.

— A więc któż go tam zaniósł? Może ty sam? za pierwszą bytnością przy wywierzysku?

— Uczynił to niewątpliwie jakiś turysta.

Czy w tym roku, czy temu lat dziesięć albo i trzydzieści, odgadnąć trudno. Zapewne potem namawiał wszystkich znajomych, aby zwiedzali tę grotę, która może była naówczas przystępniejsza niż teraz. Tymczasem albo ukrył w niej swój skarb zanadto dobrze, albo urywające się kamienie puszkę przysypały, dość, że nikt jej nie znalazł... Być może także, że ją woda z innej jakiej groty tam zaniosła.

— To ostatnie przypuszczenie nie podlega wątpliwości. A ja jestem pewny, że drapiąc się wyżej owemi korytarzami, doszłoby się do miejsca, gdzie spoczywają kości Baczmahy.

— W glinie — dodałem. — Zlituj się, tambyś zagrządł.

— I glinę jadł... Będę ja ją jeść kiedyś i wszyscy będziemy.

— Mówił już o tem Hiob nieboszczyk i dosadniej od p. Baczmahy.

Antoś wrócił po chwili do swoich przypuszczeń:

— Ale ta kostka ze stopy ludzkiej, znaleziona przez ciebie, to może kość Baczmahy?

— Nie, — odparłem, śmiejąc się – to tego jego towarzysza z dużemi brwiami.

Zbliżaliśmy się już do miejsca, gdzie się dzieliły nasze drogi. Ja miałem przed wieczorem stanąć na polanie Pysznej, aby ztamtąd iść nazajutrz z paniami oglądać wschód słońca ze szczytu Bystrej. Antoś szedł do Zakopanego, zkąd jutro miał się wybrać z profesorem na Lodowy. Zaczynały się owe *piargi*, po których pnąc się dziś rano, tak się srodze umęczyłem. Antoś poskakiwał po nich wprzódy jak kozica, teraz silił się na takie same skoki, ale mu to szło nieporęcznie.

— Wiesz co? — rzekłem do niego. — Podobno dzisiaj miał przyjechać do Zakopanego pan Piotr Chmielowski. Zanieś mu ten manuskryt; nikt lepiej od niego nie potrafi oznaczyć, kiedy ta rzecz pisana.

— A tobie jak się wydaje?

— Mnie się zdaje, że to utwor z czasu między 1840 a 1860. Panowała u nas wtedy mania szukania jakichś zabytków literackich, podobnych do odnalezionego przez Czechów, a przynajmniej czegoś w rodzaju pamiętni-

ków Paska lub Kitowicza. To pierwsze. A powtóre: w poezyi cały legion młodych pisarzy silił się na taki polot fantazyi jak w *Dantyszku,* w części *Dziadów,* w *Śnie* z »Niedokończonego Poematu« itp. Grób i zagrobowe okropności, to był wówczas najulubieńszy temat. To wtedy pisane... Obaczysz zresztą, co powie Chmielowski. — To mówiąc, oddałem mu puszkę z pergaminem: – Weź. Nie będę się z tem nosić na Pyszną.

Pożegnaliśmy się. A gdy Antoś począł zbiegać ze stromego piargu z szaloną szybkością, zawołałem jeszcze:

— Antosiu! proszę cię, nie szalej!

Zatrzymał się — i rzekł:

— A nie zapomnij, jakie mi dałeś przyrzeczenie!

Nie mogłem sobie w pierwszej chwili przypomnieć.

— Dałeś mi słowo honoru! — powtórzył Antoś.

Zrozumiałem o co mu idzie i odparłem:

— Bądź spokojny, dałem słowo. — I idąc

w moją stronę, zadeklamowałem głośno wiersz z *Lirenki:*

Jakie oczki, jaka buzia!...
Nie rusałka, wcale nie!
Ona była sobie... Józia,
A matka ich miała dwie.





III.

Spiesząc ku Pysznej, długo jeszcze słyszałem wesołe okrzyki Antosia: *hejho! hejho!* przerywane łomotem strącanych przez niego z *piargu* kamieni.

Krajobraz przyoblókł się teraz owym czarem wieczornego oświetlenia, które najbliższe, dalsze i najdalsze przedmioty i głąb widoku tak odmiennemi od siebie zabarwia tonami, że nigdy o innej porze wyraziściej od siebie nie odstają. Nie ma on uroku kolorystycznego wpółchaotycznej perłowo-złocistej gamy poranka, który z palety słonecznej wszystkie naraz zmięszane wylewać na świat zdaje się farby, ale czaruje właśnie tą pełną spokoju wyrazistością skali kolorów, świateł i cieni.

W tej różnicy kolorystycznych właściwości poranka od wieczoru, której nikt lepiej od pejzażysty nie odczuwa, mieści się wytłumaczenie psychologicznej zagadki odmiennych nastrojów umysłu naszego, jakiemi nas przejmuje ranek a jakiemi wieczór. Jest jednak jeszcze inny ich powód, którego już i najgenialniejszy pejzażysta uwydatnić nie jest w stanie, bo malarz pochwycić może tylko jedną chwilę, a tu bodźcem naszych wrażeń jest właśnie tych chwil następstwo: rozświetlanie się poranka darzy nas co chwila nową niespodzianką i budzi wciąż nowego cudu nadzieję, — a piękność wieczoru zmienia się i przeobraża w sposób zrozumiały oku i spodziewany, oczekiwany. Ranek może piękniejszy od wieczoru, ale milszy wieczór — tak jak wszystko to w życiu, co znika...

Południe ma najmniej dla mnie uroku — a brzydką jest tylko noc.

Brzydką jest tylko noc. Ta noc, w której nie świeci księżyc — dnia przypomnienie, ani gwiazdy, niezliczonością swoją przypominające niezliczoność ludzi i światów. Brzydką jest noc taka bez gwiazd i księżyca — taka

ciemnica bez nadziei wyjścia... taka noc p. Baczmahy.

Mimowiednie w ciągu mej wędrówki ciągle mi się nasuwał jego obraz: wychudła postać tego samotnika z gromnicą w ręku grzęznącego w glinie w bezdennej otchłani, coraz głębiej i głębiej... po pas... po pachy... po szyję... po usta... po oczy... A w końcu widziałem już tylko brwi owisłe i marszczące się jeszcze nad powierzchnią czoło...

Czy zmęczenie fizyczne było tego powodem, czy niezwykłość miejsca, w którem tak dziwnej słuchałem powieści, czy może wszystkie wstrząśnienia i alteracye, jakich mnie w ciągu tej wycieczki nabawił Antoś — nie wiem co, ale historya ta cmentarna tak wcisnęła się do mojej wyobraźni, że ani piękność wieczornego krajobrazu, ani żadne myśli i refleksye, któremi się zająć chciałem, nie mogły jej wyprzeć z mózgu.

Dotarłem wreszcie do hali Pysznej. Zmrok już zapadał.

* * *

Towarzystwo pań, z któremi nazajutrz miałem podziwiać wschód słońca na Bystrej, rozłożyło się na polanie obozem koło rozpalonej *watry*, do której panna Józia dorzucała ciągle znoszone przez górali gałęzie kosodrzewia i jałowcu. Kipiał samowar, a matka panny Józefy (będę ją nazywać *panią Józefową*) rozlewała w szklanki herbatę.

Towarzystwo, oprócz wspomnianych, składało się jeszcze z trzech osób. Panna Ksawera, starsza siostra panny Józi, rozkrawywała porcye szynki i chleba, a ciotka jej, panna Róża, starsza siostra pani Józefowej, ze zwykłą swą elokwencyą prawiła coś do p. Bolesława, który słuchając jej arcynabożnie ze zwieszoną głową i zmrużonemi jak szpareczki powiekami, z po za tych szpareczek zerkał bokiem na pannę Ksenię, a dla kontenansu prawą ręką zbierał do kupy oba swoje rudawe długie wąsy i pociągał je flegmatycznie na dół. Pan Bolesław ubiegał się o względy panny Kseni, a protegowany przez wszechwładną ciocię, uważany był już prawie za narzeczonego. Był on zresztą majątkowo dość dobrą partyą, ładnie śpiewał basem i był dość

wykształconym i wcale sympatycznym człowiekiem. Panna Ksenia lubiła go także, choć nie zdawała się zakochaną.

Antoś wychwalał jego poczciwość, jednak w sposób dosyć złośliwy: »Poczciwy z kościami! wąs bałabański, z którego mleko kapie!« Pewnego razu w restauracyi zakopańskiej kazaliśmy sobie dać piwa, Antoś pierwszy skosztował i skrzywił się — piwo było ciepłe, ale na nasze pytanie czy pić je można, zamiast odpowiedzi wykrzyknął ni ztąd ni zowąd: »Ach, jakiż ten Bolek poczciwy!« choć o Bolku nie było wcale mowy. Dorozumieli się jednak wszyscy co mu Bolka na myśl przywiodło.

Pannie Kseni ten flegmatyczny temperament narzeczonego zapewne także niedogadzał, wolałaby była, gdyby miał tyle życia, ognia i bystrości umysłu co Antoś, którego wielką była protektorką, stając w jego obronie nawet wobec apodyktycznych wyroków nieomylnej cioci.

Gdy spostrzeżono moje przybycie, przywitano mnie przyjaznym okrzykiem. Łączył mnie związek przyjaźnej zażyłości z tą rodziną i przyjaźń długoletnia z nieboszczykiem mę-



żem pani Józefowej, starszym odemnie znacznie, z którym jednak różnicę wieku zacierał taki sam stosunek poufały, jaki obecnie zbliżał mnie z Antosiem.

— Witamy! — zawołała panna Józia, rzucając na powitanie dużą gałąź jałowcu w ogni-

sko. Jałowiec zaskwierczał, a biały, gęsty dym buchnął w górę wysokim słupem, wśród którego zaczęły się pokazywać płomienie. — Witamy! — powtórzyła, podając mi rękę. — Sądziliśmy już, że pan nie przyjdziesz.

— Nie sądziliśmy tego – poprawiła ciocia Róża — i nie mogliśmy sądzić, znając słowność pańską. Słowność jest największą zaletą mężczyzny — dodała mentorskim tonem zwrócona do p. Bolesława.

— Tak, tak! ma pani słuszność! — potakiwał Bolesław, pociągając w dół wąsy.

— A największą zaletą kobiety, ciociu? — zapytała panna Józia figlarnie.

— Słuchać, kiedy starsi mówią — odparła ciocia sucho i zwróciła się znowu do Bolesława, oczekując należnego poparcia.

— Nie... nie... niezawodnie! — zająknął się Bolesław.

— Jest to i dla mężczyzn zaletą... którą nie wszyscy posiadają — dodała ciocia Róża.

Spojrzeliśmy zdziwieni, nie mogąc odgadnąć do kogo się stosuje ów przytyk.

— Ależ Róziu! niesłusznie zarzucasz panu Bolesławowi... — przerwała pani Józefowa.

Przewodnik Maciej Sieczka rozdmuchujący właśnie na klęczkach węgle w samowarze, pochylił łysą głową aż do ziemi i dusił się od śmiechu. Udał, że się dymem zakrztusił.

— Nie miałam pana Bolesława na myśli, broń Boże! — objaśniła ciotka — ale innych... np. nie szukając dalej: pana Antoniego.

— Ależ ciocia wyraźnie coś sobie upatrzyła do niego! — odezwała się panna Ksenia.

— Już ty go nie broń! Wiesz dobrze, jak się nieraz o starszych wyrażał, o profesorach swoich a nawet o hrabiach... Nieprawdaż panie Bolesławie?

Bolesław między panną Ksenią a ciocią czuł się jakby między młotem a kowadłem. Zająknął się i targał wąsy.

— Niezawodnie... tak jest... to jest nie, ale zawsze... choć nie powiem, aby...

— Wybacz łaskawa pani — wtrąciłem, — ale nie zdarzyło mi się spostrzedz u Antosia braku uszanowania dla starszych, albo dla profesorów. Że nie jest ich ślepym wielbicielem, to świadczy tylko, że ma sąd własny o ludziach i ich wartości.

Spotkało mnie w nagrodę za te słowa wdzięczne spojrzenie panny Józefy.

— Pan widzę ma do niego słabość — rzekła pani Józefowa. — I ja miałam słabość do niego. Przystojny, żwawy chłopiec, dobrze się prowadzi, wszyscy chwalą jego zdolności i pracowitość, mówią, że to młody uczony i że może dojść do pięknego stanowiska. Ale jak na moje imieniny przed dwoma tygodniami zaczęli się do nas schodzić... całe Zakopane... proszę pana, ja nie jestem przesądną, tyle ludzi weszło i wyszło, a jak on chciał wejść, klamka wyleciała z zamku i nie mógł drzwi otworzyć... no, to prawda, że te klamki w chałupach często wypadają, to też na to nawet nie zwróciłam uwagi. Ale kiedy mu drzwi Józia otworzyła z wewnątrz, Filuś, który na nikogo nigdy nie szczeka, a jego znał dobrze, zaczął na niego szczekać. Bardzo mnie to zdziwiło. Proszę pana, wtedy przekonałam się, że psy mają instynkt.

— Cóż mu instynkt powiedział?

— Pan się śmieje? Instynkt mu powiedział, w jakim zaczepnym humorze gość przyszedł. Nigdy go jeszcze takim nie wi-

działam, bo się z tem krył, ale wtedy przejrzałam go na wskroś. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili, ciągła procesya, całe Zakopane... pan zresztą wie, bo i pan był łaskaw pamiętać o moich imieninach... Otóż pan Antoni mało komu czemś nie dopiekł lub nie dociął, a robił to z tak wyszukaną grzecznością, albo z tak dobrze udaną naiwnością zapytań, że nikt się nie mógł obrazić, choć dowcip był czasem bardzo złośliwy. Trudno było czasem powstrzymać się od śmiechu. Wszyscy niedotknięci dowcipami jego, ubawili się wybornie... ale ja takiej zabawy nie lubię.

— Chciał nas zabawić — odezwała się panna Józia; — to nudno, jak kto zawsze poważny.

— Dziękuję. Sobie narobił nieprzyjaciół, a może i nam, dlatego że to się w naszym domu działo. Dałam mu to kilka razy do poznania z bardzo poważną miną, ale on pocałował mnie tylko w rękę i wystrzelił z jakimś konceptem tak zabawnym, że się musiałam roześmiać.

— Młody człowiek, szczególniej jego po-

zycyi:.. ,*il n'a pas le sous*... — zawyrokowała ciocia, — powinien sobie jednać ludzi a nie odstręczać. Czemu to np. pana Bolesława albo pana Adolfa wszyscy lubią...

— Ja nie jestem przesądną — kończyła opowiadanie pani Józefowa, — ale gdy pan Antoni został na herbacie i ja nalałam szklankę dla niego, szklanka pękła... proszę pana, szklanka z grubego szkła, jak ta, którą pan w ręku trzyma! Sto razy nalewałam może do niej gorącą herbatę i nie pękła, aż dopiero wtedy. Zaraz pomyślałam, że się coś stanie.

— I stało się co?

— W tej chwili wszedł p. Adolf...

— I p. Antoni wziął go na fundusz... ale tak zabawnie! — wmięszała się panna Józia.

— Wcale nie zabawnie! — obruszyła się ciotka. — Postąpił sobie jak arogant, pyszałek bez wszelkiej delikatności uczucia, który korzysta z tego niegodnie, że ma może więcej nauki... ale przecież świat nie może się składać z samych uczonych; inni ludzie także są potrzebni i może daleko pożyteczniejsi.

— Moja ciociu! — zaprotestowała panna Józia — ale nie nieuki...

— Bardzo proszę! pan Adolf ma piękną wieś, ładnie zagospodarowaną...

— Przez ekonoma — wtrąciła panna Ksenia — nieprawdaż panie Bolesławie?

— W samej rzeczy... ale —

— Ale ekonomowi trzeba wydać dyspozycyę — zakończyła ciotka.

— Istotnie... niby trzeba... tak jest... ale — kręcił się pan Bolesław.

— Ale, on tych dyspozycyi nie wydaje? — uzupełniła Ksenia.

— Niezawodnie... zapewne... o ile wiem, nie wydaje... ale jednakże...

— Ale jednakże, gdyby potrzeba było wydawać dyspozycye i samemu gospodarować, toby potrafił — zakonkludowała ciocia, — a pan Antoni nie wiem czy żyto od pszenicy potrafi odróżnić!

— Pewnie... ma pani słuszność... możeby niepotrafił...

— Jakże to było wówczas? – zapytałem. — W jaki sposób zażartował Antoś z pana Adolfa?

— Ach! to się nawet opowiedzieć nieda! — zawołała panna Józia — to trzebaby powtórzyć.

— Naplótł tyle uczonych niedorzeczności — rzekła pani Józefa, — że wszyscy zrazu osłupieli, a potem zrozumiawszy co się święci, mało nie parskli śmiechem...

— A pan Adolf na tem się nie poznał — dodała p. Józia — i z najkomiczniejszą w świecie powagą wypytywał dalej i święcie wszystkiemu wierzył, dopóki...

Tu obie dziewczęta, pani Józefowa i nawet p. Bolesław wybuchli śmiechem. Tylko ciocia niecierpliwiła się widocznie.

— Dopóki co? — zapytałem.

— Dopóki... — i nowy nastąpił huczny wybuch wesołości.

— Panie Bolesławie! — prosiła panna Ksenia — pan to tak doskonale wczoraj opowiadał, niech pan opowie raz jeszcze!

— Proszę bardzo — przyłączyłem się do żądania — i ja radbym się uśmiać.

— Ależ to niewarte śmiechu! — wybuchła ciotka.

— Tak jest... ma pani słuszność... niewarte...

— Moja ciociu! moja ciociu! — wołały obie panny, przychlebnie całując ciotkę w ręce.

— Wolałby pan Bolesław nam co zaśpiewać.

Ale panny nie ustawały w prośbach.

— No, mów pan, mów pan! — rzekła wreszcie zrezygnowana.

— Ale trzeba wiedzieć — zapoczątkowała opowiadanie panna Józia — że pan Adolf ile razy się spotka w towarzystwie z p. Antonim, nigdy innej nie zacznie z nim rozmowy, tylko o profesorach i wykładach uniwersyteckich, a to dla tego, aby mu okazać, że go uważa jeszcze za młodzika, z którym tylko o nauce mówić można, a z czego on sam już wyrósł... A gdy p. Antoni poruszy jakie naukowe zagadnienie, to pan Adolf niemając o niem wyobrażenia, stara się okazać, że mu w tem nie ustępuje, że te kwestye zna na palcach i żywo się niemi niegdyś zajmował.

— A cóż Antoś?.

— P. Antoni — odrzekła panna Ksenia — traktuje go zupełnie na seryo, jakby uczonego i udaje, że chce zasięgnąć jego zdania.

Bolesław zachęcony przez pannę Ksenię, a ubezpieczony otrzymanem zezwoleniem ciotki, nabrał rezonu i odgarnąwszy oburącz swoje wąsiska, otworzył oczy nieco szerzej niż zwykle:

— Ha, kiedy panie każą, to odegram tę komedyę.

Z przyniesionych przez górali pledów i zarzutek, urządził sobie improwizowany fotel, usiadł, pogładził jeszcze raz rude wąsy i krótko strzyżoną czuprynę, i rzekł:

— Już mnie niema! niema mnie tu! a są natomiast dwie osoby i będzie się rozgrywał pocieszny dyalog. Oto jest pan Antoni, który siedzi tak: — tu przybrał skromną i pełną uszanowania minę studenta zaszczyconego rozmową z profesorem. — A to znowu pan Adolf. — Teraz rozsiadł się szerzej, przechylając w tył głowę z miną wielkopańską, przymrużył oczy i przetworzył usta, jakby patrzał w chmury, kiedy mu »pieczone gołąbki same wpadną do gąbki«.

Na przemiany przybierał pan Bolesław to jedną to drugą pozę i dyalogował dość zręcznie, w rodzaju naszego Fischera. Jego



»p. Adolf« cedził słowa z pretensyonalnym akcentem, a »Antoś« zaś mełł językiem szybko, jakby gimnazyalista.

— (P. Adolf) E, i cóż pan teraz robi za studya? — wycedził p. Bolesław przez

zęby. I natychmiast, przybierając pozę studencką, wyrecytował jak na młynku:

— Uczę się gramatyki, literatury, filozofii... neurastenyi i balneologii...

— (P. Adolf z uśmiechem) E, co za obszar nauk!... No, i gramatyki także?... to pan żartujesz, gramatykę pan przecież już umiesz?...

— (P. Antoni) Tak dobrze jak p. profesor hrabia Tarnowski, nieumiem.

— (P. Adolf, machnąwszy ręką z lekceważeniem) Eh, no, zapewne! (po chwili) Ale filozofia! eh, filozofia! to grunt, ja bardzo lubię filozofię, dużo bardzo pracowałem i mogę powiedzieć: filozofuję jeszcze jak mam wolny czas... Niech mi pan wierzy, to śliczna nauka: eee, Schelling, Hegel, Aristofanes, Straszewski. Ale strzeż się pan, bo filozofia wiedzie często na bezdroża.

— (P. Antoni zdziwiony) Na jakie, proszę pana?

— (P. Adolf) E, e, naprzykład taki Darwin! rozumny był i zwaryował, uroiło mu się, że jest małpą, że od małpy pochodzi.

— (P. Antoni) A niejednej małpie może się wydaje, że jest człowiekiem?

— (P. Adolf) *C'est probable...* Ale powiedz mi pan, zdaje mi się, że między wykładami, które pan wymieniłeś, nie było historyi! a przecież, niech mi pan wierzy, na historyi i tradycyi wszystkie nauki się opierać winny...

— (P. Antoni) Ja tylko wymieniłem wykłady filozoficzno-filologiczne, a na wszystkie wykłady oddziału historycznego także uczęszczam: archeologia, osteologia, ballistyka, ikonoklastyka... a palimpsest mnie osobliwie zajmuje...

— (P. Adolf) Ah, bo też to obok ee... Tacyta i Cycerona niema między historykami starożytnego świata większego nad Palimpsesta!... Ale także i nowszych historyków niech pan studyuje: Szujskiego, Bobrzyńskiego... Bobrzyński nie gorszy od Palimpsesta... Wprawdzie oni dla historyi polskiej zrobili już wszystko, co można, ale są jednakowoż jeszcze luki... Niech mi pan wierzy, że są... E, e, a czy teraz w ostatnich czasach

nie zrobiono jakiego nowego *wynalazku* historycznego?

— (P. Antoni) Wynalazku? oh, zrobiono! Prof. hr. Tarnowski odkrył, że autorem piszącym pod nazwiskiem Mikołaja Reya, był właściwie ksiądz Józef Wereszczyński, i nie był kalwinem, ale opatem benedyktyńskim w Sieciechowie, który do dziś dnia należy do rodziny hr. Reyów. A ten Wereszczyński należał do rodziny Wereszczaków... wie pan, ten sławny *wereszczakowy sos* na kwasie burakowym, o którym wspomina Barthels?... to te same Wereszczaki, o których mowa w »Panu Tadeuszu«, że prowadzili proces z Radziwiłłami, aż się w to wdał kardynał Hozyusz, którego Wereszczyński został sekretarzem prywatnym, kiedy Ojciec święty Sykstus V. jeździł z nim do Lwowa w sprawie beatyfikacyi Ronsarda, co jednakowoż nie przyszło do skutku...

— (P. Adolf zainteresowany) Niesłychanie ciekawe! to Ojciec święty Sykstus V. był we Lwowie?

— (P. Antoni) Jakto, to panu niewia-

domo, że tam do dziś dnia jest ulica Sykstuska?

— (P. Adolf skonfundowany) A prawda! zapomniałem!... ee, uleciało mi z pamięci... No i cóż dalej?

— (P. Antoni) Wereszczyński z pomocą Erazma Rotterdamczyka, napisał potem historyę Karola XII., którą sobie Voltaire przywłaszczył, opuściwszy z niej cały wywód, że Karol XII., tak jak i zgilotynowany Karol angielski, pochodził od Karolingów... co bulą papiezką *Verba volant* zostało stwierdzone, a co zresztą samo imię dostatecznie dowodzi.

— (P. Adolf) Oczywiście! jasne jak słońce. No i cóż dalej?

— (P. Antoni) Wereszczyński pojechał do Abdery i jako biskup Niepołomicki *in partibus*, otrzymał indygenat szlachecki i przyjęty został przez Poniatowskich do herbu *Ciołek*...

— (P. Adolf spostrzega teraz, że wszyscy się duszą od śmiechu i mówi): E, e, to już pan żartuje i powtarza demokratyczne koncepta o herbach. Sądzi pan, że my tam na wsi nie mamy wyobrażenia o historyi i wszystkiemu łatwo uwierzymy?

9

Przecież takiego herbu niema! cóż znowu: herb *Ciołek!*

— (P. Antoni) Jakto? nie wierzy pan, że Poniatowscy są herbu *Ciołek?* a przecież o tem hrabia Cieszkowski w *Ojczenaszu* napisał!

— (P. Adolf zirytowany) Co pan wygaduje! *Ojczenasz* nie hrabia Cieszkowski, ale Pan Jezus napisał.

. . . .

Śmialiśmy się z tych wszystkich niedorzeczności, których większą połowę niezawodnie pan Bolesław sam dokomponował, śmiała się nawet nieubłagana ciocia, protektorka pana Adolfa, gdy przewodnik Maciej Sieczka oznajmił nam, że nocleg w dwóch *letnikach* już przygotowany i czas udać się na spoczynek, jeźli jutro rano chcemy wyruszyć w drogę dość wcześnie, aby przed wschodem stanąć na szczycie Bystrej.

Dogasał już i ogień w naszej watrze i nie było go czem podsycić. A więc dobranoc życzyliśmy sobie, gdy panna Ksenia zawołała:

— A teraz jeszcze należą się oklaski panu

Bolesławowi za jego dyalog! — i uderzyła w dłonie, a myśmy zawtórzyli.

Pan Bolesław był uszczęśliwiony. Panna Józia z wyrazem niekłamanej wdzięczności uścisnęła mu rękę, a gdy panna Ksenia uczyniła toż samo, p. Bolesław ośmielił się jej rączkę zatrzymać w swej dłoni i kilkakrotnie ucałować, czemu się ona nie broniła tym razem. Sroga ciocia przypatrywała się temu z dobrotliwym uśmiechem, — może jakie dawne wspomnienie usposobiło ją do takiej pobłażliwości dla podobnego ekscesu, — i rzekła:

— Ja panu Bolesławowi nie mam za złe tej komedyi, którą nas zabawił, bośmy się wszyscy uśmieli... chociaż tam bardzo mało co było prawdą w jego opowiadaniu oprócz *Ciołka* i *Ojczenaszu*.

— A Darwin? — wołała Ksenia — a papież Sykstus i Wereszczyński?

— A Karolingi, Wolter i Arystofanes? — dodała Józia.

— Dajcie już temu pokój! — przerwała ciocia. — Choćby to wszystko było prawdą, to panu Bolesławowi nie mam za złe, bo

opowiadał to bez złej intencyi, ale ze strony pana Antoniego było to niegodnie, tak skorzystać z cudzej niewiadomości i dowodzi tylko złego serca.

— Już to prawda — przywtórzyła pani Józefowa — co mówią o instynkcie zwierząt. Filuś nigdy na nikogo nie szczeka a...

— Pan Adolf, choć nie może mieć pretensyi do takiej uczoności, jak pan Antoni, zachowuje się jednak daleko roztropniej od niego, przyzwoicie, jak człowiek dobrze wychowany i dobrego towarzystwa. I nigdyby nikomu czegoś podobnego nie zrobił, bo ma dobre serce. Pana Antoniego przez dobroć serca wypytywał o jego studya, a on mu się za to pięknie odwdzięczył. Przecież tego mu nikt nie pochwali! Nieprawdaż, panie Bolesławie?

Bolesław był w fatalnem położeniu między panną Ksenią a ciocią, i bąkał, ciągnąc wąsy na dół:

— No, tak, zapewne... ale jednakże...

Wybawił go z kłopotu przewodnik, naglący, aby się udać na spoczynek, bo jutro

przed świtem nie wstaniemy, a na *wierch* droga jeszcze daleka.

Poszliśmy do przygotowanego na sianie noclegu. Ale pan Bolesław udał się jeszcze pod *letnik*, w którym, wylazłszy po drabinie, zasypiała w wonnem sianku jego ubóstwiona, i zaśpiewał na dobranoc pięknym swym basem serenadę Schuberta. Z letnika odezwały się oklaski. Po Schubercie przyszła kolej na Moniuszkę, po Moniuszce nastąpiła »Barkarola«. Tego było jednak przewodnikowi za wiele i wzywał co chwila Bolesława do porządku. Ztąd się wywiązał rodzaj duetu:

— W morzu przegląda się
Gwiazda srebrzysta...
— *Hnetki* będzie świtać.
— Jak lustro gładka...
— Noc teraz krótka.
— Toń przeźroczysta...
— No idźcie już spać! i pani*a*m dajcie spać.
— A łódka moja...
— Droga daleka na wierch!
— Skały omija...
— A jutro nie będziecie chcieli *odecknąć się*.
— Niech ją prowadzi...

— Ja was nie wyprowadzę na czas.

— *Santa Lucia.*

— I będzie wam *nie rek.*

Widząc jednak, że roztropnością swych uwag i przestróg nic nie wskóra, wziął się inaczej na sposób: Zaczął wtórować Bolesławowi na jakąś góralską nutę, z którą »Barkarola« w żaden sposób zgodzić się nie mogła. Kocia ta muzyka wywołała efekt nadzwyczaj komiczny, szczególnie gdy flegmatyczny Bolesław stracił cierpliwość i przerywając sobie, zaczął gromić górala, że mu śpiewać nie daje. Duet zakończył się chórem: cztery panie w letniku zawtórowały śmiechem szalonym, homerycznym, w którym odróżnić można było pojedyncze głosy. Górował nad niemi dźwięczną gamą głosik panny Kseni. Porwany tą wesołością, zahuczał wreszcie i pan Bolesław swoim basowym śmiechem, który odbity od skał, szeroko po górach się rozległ.

— A to ci się śmieją panowie! — zawołał któryś z górali, nocujący przy *watrze.* I nowa salwa śmiechu odezwała się z tamtej strony, do nowej panie pobudzając wesołości. Nie

było temu końca. Zaledwie chór ten na chwilę był się uciszył, znów zachichotało ciche stłumione *solo* i nową wywołało burzę.

Znużony byłem i senny, zagrzebany w sianie, pragnąłem usnąć. Naprożno prosiłem i upominałem Bolesława. Flegmatyk tak się ożywił i rozruszał, że nie można go było uspokoić. Położywszy się obok mnie, chciał koniecznie nawiązać ze mną rozmowę, próbował różnych tematów i wracał zawsze do panny Kseni. Na wszystko odpowiadałem mu tylko jednem słowem: »spać!«... na różne tony i z różnemi akcentami, to prosząc, to napominając, to wreszcie się niecierpliwiąc. Nic to wszystko nie pomagało, przeciwnie, ta zmiana w intonacyi jednego wyrazu, zabawiła go bardzo, i przedrzeźniając, starał się mnie naśladować. Zamiast »spać«, powtarzał jednak na różne tony: »nie spać!« Ucieszony tym konceptem, jakby coś najdowcipniejszego wymyślił, pijany wesołością i powietrzem górskiem, przewracał się ze śmiechu po sianie. Postanowiłem nie odzywać się już wcale i przeczekać ten paroksyzm. Wreszcie uspokoił się i ułożył do snu. Chwilkę jednak zaledwie

przeleżał cicho, a już przyszło mu na myśl, że teraz przewodnik mu nie przeszkodzi zaśpiewać jeszcze na dobranoc. I w lot myśl tę chwytając, zanucił:

Tu samotna zadzwoń pieśni
Po tych niwach...

Porwałem z pod siebie wiązkę siana i po omacku w ciemności odszukawszy jego głowę, zatkałem mu usta.

— Pssst!... Jak panna Ksenia się nie wyśpi, będzie jutro w złym humorze!

— Nie będzie! — zaprotestował zuchwale.

— I ciocia także! — dodałem.

Ta uwaga pomogła lepiej od wszystkich perswazyi. Zamilkł i ułożył się z widocznem postanowieniem nieprzerywania ciszy. Usłyszeliśmy jeszcze raz perłowy śmiech panny Kseni, — ale p. Bolesław nie ruszył się wcale, szepnął tylko z zachwytem:

— Rusałka! — i za chwilę zaczął chrapać, jakby kto piłą rżnął drzewo.

Usnąłem twardo jak kamień. Nie trwało to jednak długo. W sianie po *letnikach* nie

brak nigdy nieproszonych gości, których duchy górskie zsyłają, aby budzić w turyście uśpione entomologiczne talenty. Goście ci tym razem upodobali sobie szczególnie w moich nogach. Przyśniło mi się, że jestem Baczmahą i doznaję sensacyi próchnienia nóg. Czułem, jak mnie zewsząd ugniata cisnąca się na mnie glina i zacząłem jęczeć pod tym uciskiem.

Jęk mnie własny przebudził. Otworzyłem oczy i ujrzałem, że zagrzązłem po szyję... przedemną ponurym blaskiem płonąca gromnica, a tuż za nią stercząca z poziomu łysa głowa ludzka...

Zanim miałem czas opamiętać się, głowa ta przemówiła do mnie znanym mi głosem przewodnika Macieja Sieczki.

— Wstawajcie żywo! już czas!

On to wylazł po drabince do naszego *letnika* ze świecą w ręku, aby nas zbudzić i pomódz nam się zebrać.

— Pogoda? — zapytałem.

— *Siąpi kiela tela,* ale *dzisiok papracki* nie będzie. *Hnet* się *ozgajda* i będzie po-

goda, co cud. Ale trzeba się *uwyrtać,* bo to *precki.*

— A panie czy obudzone? — zapytałem.



— Oho! już się *haniok* ogarnęły przy strumyku i warzą *herbę.*

— A w dobrym humorze? — zapytał Bolesław, zrywając się żwawo z posłania.

— Panienki w dobrym *honorze* — odrzekł Sieczka — tylko panna ciotka *cosik* bardzo *hapeluje.*

— Ou! źle! — pomyśleliśmy obaj.





IV.

Wracaliśmy z Bystrej niezupełnie zadowoleni. Zawiodły nas nasze nogi i nie stanęliśmy na szczycie przed wschodem. Stromą ścieżką pomiędzy kosodrzewiną zaleźliśmy w dwóch godzinach zaledwie na przełęcz i coraz stromszą *granią* zaczęliśmy się wydostawać z pomocą rąk na pierwszy *czub*, Błyszczem zwany, gdy słońce ukazało się już z po za gęstej chmur obsłony. Deszcz wprawdzie już nie »siąpił«, ale »cud« zapowiedziany przez Sieczkę nie nastąpił i wszystkie prawie szczyty były zakryte. Zaledwie czasem za powiewem wiatru odsłonił się na mgnienie oka zakrzywiony kieł Krywania, lub wystający nad obłoki szczyt starorobociań-

skiej piramidy, albo w dali trzy groźnie ku niebu sterczące rogi Rohaczy. Liptowskie tylko doliny ukazały się nam w całym swoim przepychu obiecanej ziemi z niezliczonemi swemi wsiami i miasteczkami, przykryte ułożoną do poziomu gęstszą, lecz kryształowej przezroczystości warstwą powietrza, niby olbrzymią, niebieskawą taflą szklaną.

Był to widok w swoim rodzaju niezrównany — lecz nas nie zadowolił. Myśmy pragnęli widzieć szczyty tatrzańskie, a nie mogliśmy się szczytom napatrzyć, ujrzawszy je jakby w przelocie, — pragnęliśmy widzieć wschód słońca, a nie zdołaliśmy zdążyć na czas. Ztąd niezadowolenie. Łączył się z tem pewien rodzaj wstydu, właściwego wszystkim turystom, gdy wracają do domu, nie dotarłszy do zamierzonego celu. Nie wydrapaliśmy się na właściwy główny szczyt Bystrej, gdyż i ten był chmurami zakryty, a przewodnik nam radził, abyśmy napróżno tego trudu nie podejmowali. Oszczędziliśmy sobie przez to, licząc z powrotem, może trzy godziny czasu, ale wracaliśmy niezadowoleni.

Panna ciotka i pani Józefowa, obie czuły

się bardzo zmęczone i szły powoli, pozostając z tyłu, prowadzone przez dwóch górali. Obie panny, Bolesław i ja wybiegaliśmy na-



przód za przewodnikiem Maciejem, a ubiegłszy kawał drogi, zatrzymywaliśmy się, czekając na przybycie reszty towarzystwa. Bolesław prowadził pannę Ksenię, ja Józię.

O czem rozmawiała ze sobą para narze-

czonych — nie wiem, i domyśleć się trudno, bo zakochani zwykle mówią z sobą o rzeczach z ich miłością w żadnym nie stojących związku, a wydaje im się potem zawsze, że tylko o swem kochaniu rozmawiali. Powiem tylko, że w tym powrocie z Bystrej panna Ksenia po raz pierwszy zdawała mi się spoglądać z lubością na bałabańskie wąsy swego towarzysza. Jego dobroduszne, flegmatyczne rysy promieniały szczęściem. Powietrze tatrzańskie cudownie nastraja nerwy. Komuż ono serca nie obudzi!

O czem ja rozmawiałem z panną Józią — na to pytanie jednem słowem mogę odpowiedzieć: o panu Antonim. O nim i ciągle tylko o nim. O jakimkolwiek przedmiocie zaczęła się rozmowa, z tej tkanki wysnuła się znowu ta złota nitka, której w tym wypadku było na imię »Antoś«. Panna Józia wiedziała jak przyjazny nas łączy stosunek i rada korzystała z mego towarzystwa, aby mówić ciągle o tym, o kim ciągle myślała.

Mylę się jednak: była mowa i o kim innym — o panu Adolfie. Dowiedziałem się teraz dopiero na pewno, czego domyślałem

się już dawno, że pan Adolf ubiega się o względy panny Józefy i występuje w roli konkurenta, licząc na gorące poparcie cioci Róży.

— Pan Adolf nie jest uczonym, to prawda — mawiała ciotka pannie Józefie, — ale uczeni są najgorszymi mężami, a panny nie idą za mąż na to, aby lekcye brały od mężów, ale przeciwnie, aby uczyły mężów tych cnót, jakie im w domu wpojono. Pan Adolf jest człowiekiem dobrze wychowanym, delikatnym, ma piękny majątek i koligacye w wielkim świecie. Byłabyś z nim szczęśliwą i poprowadziłabyś go, jak pan Bóg przykazał...

— Panna, która idzie za mąż, aby męża na pasku prowadzić, — mówiła panna Józia, opowiadając mi o tej scenie z ciotką — niech raczej pójdzie na Bystrą i skoczy w tę przepaść! — szliśmy właśnie brzegiem przepaści — i jabym wolała tu skoczyć, niż wyjść za takiego pana Adolfa! sto razybym wolała!... Patrz pan, jak tu głęboko...

— Niechże pani się tak nie nachyla! — zawołałem, chwytając ją za rękę.

I pomyślałem: Bieda z zakochanymi. Wszak

to wczoraj miałem taką samą przeprawę z Antosiem!

Zaśmiała się wesołym głosem:

— Nie obawiaj się pan. Daleko jeszcze do przepaści i daleko do tego, abym poszła za p. Adolfa. Ale do przepaści bliżej... daleko bliżej.

— Kłopot z młodzieżą! — rzekłem. — Wie pani, że wczoraj...

— Co wczoraj?

Ukąsiłem się w język. Wszak to przyrzekłem uroczystem słowem Antosiowi, że o danym mi na wypadek śmierci do panny Józefy zleceniu, nikomu nie powiem, jeźliby on karku nie skręcił. A oto mało co się nie wygadałem.

— Wczoraj? — powtórzyła pytanie, widząc, żem się zająknął, — wczoraj pan był na wycieczce z p. Antonim. Jakiż pan miał z nim kłopot? czy taki jak ze mną?

Spostrzegła moje zmięszanie i zarumieniła się. Wiedziała niezawodnie, że nie są mu obce pomysły bajroniczne w tym rodzaju, w jakim sama przed chwilą mówiła o skoczeniu w przepaść, i domyśliła się zapewne

po mem zająknieniu, że w tym poemacie, którego nie chcę wyśpiewać, i o niej musiała być mowa.

Użyłem więc wybiegu i zacząłem uskarżać się na zapamiętałą śmiałość Antosia, która mnie wczoraj takiego nabawiła strachu, i opowiadałem jej całą tę awanturniczą wyprawę, której Antoś był bohaterem, pomijając jednak ustęp dla niej najciekawszy, bo ją osobiście dotyczący.

Pałały oczy dziewczęciu, na twarzyczkę jej wystąpiły ognie — a prowadząc ją pod ramię, czułem, że drży.

Minęliśmy już szałas na hali Pysznej, przypominając sobie wieczór, tak wesoło tam wczoraj spędzony przy ognisku, komedyę odegraną przez p. Bolesława i serenadę, wraz z owym duetem improwizowanym przez Macieja, który się stał powodem śmiechów do późnej nocy.

Odpocząwszy chwilę i posiliwszy się, szliśmy okolicą lesistą do hali Ornackiej i dalej, schodząc stokami grzbietu, do hali Smytniej. Było już blizko południa. Tu znowu dłuższy czekał nas odpoczynek. Roztasowaliśmy się obo-

zem, a górale, zrzuciwszy torby z pleców, wydobyli ostatek naszych wiktuałów i butelkę wina. Dwie panie starsze bardzo się czuły znużone, szczególnie ciocia Róża. Położywszy się w trawie, dysząc, długi czas nie odzywała się do nikogo, wreszcie pokrzepiona szklaneczką wina przyszła nieco do siebie i zaczęła czynić nam wszystkim gorzkie wymówki, iż żadnego na nią nie mamy względu i zbyt spiesznie idziemy. Winę, jak zawsze się dzieje w takich wypadkach, złożyliśmy na przewodnika.

Maciej obruszył się, dotknięty do żywego tą niesprawiedliwością:

— *Fto?* ja winien? Ja wam nie *kazuję* tak *wartko hybać!* ja wam ciągle *gwarzę* aż mnie *cliwi:* nie spieszcie się, *mocki* czasu mamy! Ja *daję pozór* na wszystko i *godnie uważuję*, że starsza pani (no, przepraszam) zaczyna *kulckać,* bo ją *skale* w nogi *dziobią*, a starsza panna ciocia (no, *przypytuję) krzypi*, a to nie *peć,* jak kto nie przywyczny: idź i idź w samo południe, a tu *pre! Skrony* tego ja winien i *tela!*

— Ależ, mój Macieju, ja wam nie zarzu-

cam... — zaczęła ciotka. Ale Maciej nie dał sobie głosu odebrać i mówił dalej:

— A bo *rekuratnie!...* ja na was nie mogę *pokrzykować,* wołam i wołam *furt,* żebyście się mnie *dzierzyli*, ale choćbym *zasipnął,* to moje wołanie na nic... Ot, *haniok* na *buli, gwarzę:* siądźmy *se kany tany,* poczekajmy aż pani mama przyjdzie. Ale panienki jak *fukną,* jak zaczną *hipkac* po *brzyzku* a panowie za niemi i *tela!* A kto winien, Maciej winien.



Zaledwie nam się udało udobruchać Ma-

cieja, ślubując mu na przyszłość posłuszeństwo, radzi jednak byliśmy w duszy z tego, że swojemi skargami nie dopuścił panny ciotki do słowa. Ciocia zresztą po drugiej szklaneczce wina wpadła także w lepszy humor.

Ruszyliśmy wreszcie w dalszą drogę. U wstępu do kościeliskiej doliny, przy tak zw. »bramie Kraszewskiego«, miały nas oczekiwać wózki z Zakopanego. Już niedaleko. Dochodziliśmy do krzyża postawionego w r. 1852 przez Wincentego Pola, w miejscu, w którem, wedle dawnego podania, zamordowali opryszki królewskiego młynarza, wypłukującego złoty piasek. Nagle na zakręcie drogi ujrzeliśmy idących naprzeciw nam dwóch panów.

Jednego z nich poznała bezwłocznie panna Józia po kapeluszu *à la Rembrandt:* był to p. Adolf. Rumiana jej twarzyczka poczerwieniała bardziej jeszcze od gniewu i przybrała przy tem wyraz taki, jakby ją kto srodze obraził.

Ale kto był ów towarzysz p. Adolfa? długo nie mogliśmy się domyśleć. Był to mężczyzna starszy i dobrej tuszy.

— Ach, to wujcio! — zawołała wreszcie panna Ksenia z radością. Panna Józia nie zdawała się tej radości podzielać.



Istotnie był to oczekiwany już od dłuższego czasu w Zakopanem brat pani Józefowej i panny Róży, a obu panienek opiekun. Zja-

wienie się jego w towarzystwie p. Adolfa napełniało pannę Józię niedobrem przeczuciem.

Miała słuszność.

Gdy się ci panowie do nas zbliżyli, nastąpiły zwykłe przywitania i zapytania. Wujaszek zajął się rozmową z panią Józefową i parą narzeczonych, panna ciocia z p. Adolfem. Józia szepnęła do mnie:

— A teraz chodźmy, chodźmy naprzód, prędko, prędko! Zanim ci państwo się spostrzegą, że nas niema, będziemy już od nich daleko.

Ale ciocia miała się na baczności, czyli, jak się wyrażał Sieczka: dawała pozór na nas.

— Ho, ho! ho, ho! Józiu! — wołała — Józiu, wróćno się! Teraz, kiedy jest czterech panów i nas cztery, to pójdziemy parami. Młodzież naprzód! Pan Bolesław poprowadzi Ksenię, pan Adolf Józię. Siostra pójdzie z braciszkiem, ja zamawiam sobie pana towarzystwo. — I podała mi rękę.

Nie wypadało, jak podziękować i poprowadzić.

Szliśmy w ostatniej parze i zostawaliśmy ciągle z tyłu. Przed nami szedł p. Walenty

z panią Józefową i rozmawiali o interesach majątkowych, a tuż przed niemi p. Adolf z panną Józefą. On jej prawił jakieś francuzkie komunały, ona milczała. Bolesław z Ksenią wyprzedzili znacznie wszystkich i idąc coraz prędzej, byli już od nas daleko.

Ciocia pragnęła niezawodnie, aby i druga para poszła za ich przykładem, bo p. Adolf miałby sposobność do rozmowy sam na sam z Józią.

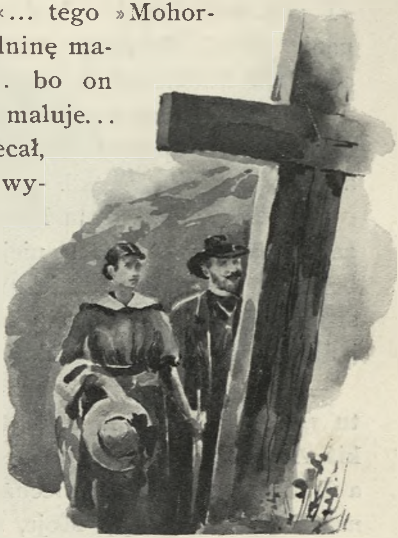
— Kseniu! — wołała — Kseniu!... ach, już nie usłyszy!... Józiu, biegnijże za Ksenią, niech nas tak nie wyprzedzają ci państwo!

— Biegnij, biegnij Józieczko! — zachęcał ją wujaszek.

Chcąc nie chcąc, Józia przyspieszyć musiała kroku w towarzystwie p. Adolfa. Wkrótce obie pierwsze pary znikły nam z oczu. Dogoniliśmy je dopiero pod krzyżem.

— Patrz pani — mówił p. Adolf do swej towarzyszki — jakie to piękne! Te skały, te góry, ten lasek świerkowy, ten romantycznie szemrzący strumyk, *c'est charmant!* to prawie przypomina Szwajcaryą; *on se sent pe-*

netre de la grandeur de Dieu!... A teraz ten krzyż! Czytała pani ten napis: »I nic nad Boga!« To pisał ten pan Pol, autor »Mohorta«... tego »Mohorta«, którego stadninę malował Kossak... bo on najlepiej konie maluje... On mi już obiecał, że moje konie wymaluje...



— Ten pan Pol? — zapytała naiwnie Józia.

— Nie, Kossak. Pan Pol nie jest malarz, *c'est un poete*, tak jak Mickiewicz... *mais il est plus catolique...* Ale pani pewnie czytała jego wiersze?

— Nie, ja wierszy nie lubię.

— *Vous avez parfaitement raison.* I ja także. Tylko piękna natura... *cela me suffit.*

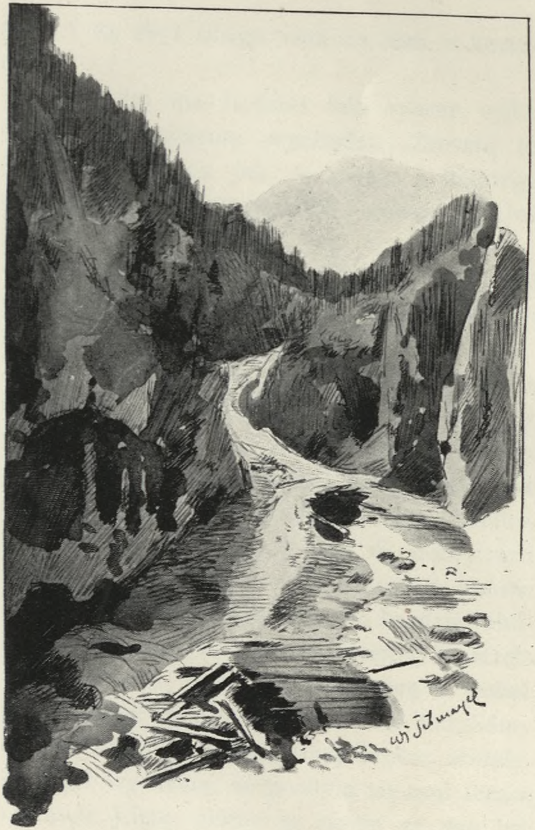
Ale taki krótki wiersz, jak ten tu na krzyżu, to także taki piękny jak natura. To jak Mickiewicz, *et c'est même plus grand que lui:* »I nic nad Boga!« *c'est sublime!* Uważa pani? »Nic!« To jedno »nic«, to większe niż cały pan Mickiewicz...

Dalszej rozmowy nie dosłyszałem. Dwie młode pary poszły naprzód ku Pisanej, a myśmy z tyłu zostali.

Przed wywierzyskiem Dunajca, przy skale, zatrzymaliśmy się czas niejaki, p. Walenty bowiem chciał koniecznie pokazać siostrom swój podpis, przed pięciu laty tam wyryty, i dziwił się, że go odszukać nie może.

— Jak Pana Boga kocham, tu było, tu, tu w tem miejscu. A teraz tu podpisany jakiś *Bart Duda!* Bart? to pewnie Bartłomiej, a Duda nazwisko. A niechże go z takiem nazwiskiem kule biją! Moje, szelma, wyskrobał, a »Duda« napisał, do krocset bizunów! I to się nazywa cywilizacya! Ucz chłopa czytać, a wyskrobie twoje nazwisko i napisze: Duda!

Pani Józefowa zwróciła uwagę brata, że trzeba podążać za pannami, które poszły na-



przód i są zbyt długo sam na sam z kawalerami.

— Nic im nie będzie! taki spacer tylko na zdrowie pannom wychodzi. Zresztą tu przecie już droga jak w parku i żadnego niebezpieczeństwa niema. Ot i górale nas już odeszli.

W samej rzeczy, przewodnik z góralami pospieszyli już do wózków, które na nas czekać miały u »bramy«.

Idąc od skały ku polanie Pisanej, trzeba się piąć na mały wzgórek. Gdyśmy nań już wyszli, spotkała nas niespodzianka, której nikt nie mógł przewidywać. Ujrzeliśmy obie panny na dole, na drugim końcu polany, spoczywające na trawie, — tak się nam zrazu przynajmniej wydało, — a żadnego z panów przy nich nie było. Gdyśmy się bardziej zbliżyli, spostrzegła nas panna Ksenia i zaczęła nas przyzywać żywą giestykulacyą i wołać, jakby żądając pomocy. Słów nie mogliśmy dosłyszeć, ale przyspieszywszy kroku, widzieliśmy już wyraźnie, że pochyla się nad leżącą na trawie Józią, jakby ją cuciła ze snu lub

omdlenia. Puściłem ramię cioci i ile nóg starczyło, biegłem w tę stronę.

Jednocześnie prawie ze mną przybiegli z przeciwnej strony, od strumyka, Adolf i Bolesław, obaj z odkrytemi głowami, niosąc w rękach kapelusze napełnione wodą. Przypadłem pierwszy.



— Co się stało? — zapytałem.

Pytanie było zbyteczne. — Widziałem bowiem Ksenię podtrzymującą siostrę, bladą jak chusta i mglistem spojrzeniem patrzącą w przestrzeń.

— Nic już, nic — odrzekła Ksenia. — Józi zrobiło się niedobrze... Zmęczyła się zanadto... Proszę nas chwilę same zostawić.

Usunęliśmy się, — ale odchodząc, odwróciwszy mimowoli głowę, ujrzałem, jak Józia

rzuciła się siedzącej przy niej siostrze w objęcia i usłyszałem jak głośnym wybuchła płaczem.

Tymczasem nadeszły zdyszane obie starsze panie z p. Walentym.

Zatrzymaliśmy się za najbliższym zakrętem skał, aby nie być niedyskretnemi świadkami. Postanowiliśmy czekać, dopóki nas panie nie przywołają. Wkrótce przyszedł do nas i pan Walenty.

Bolesław siadł na kamieniu i skulony, zwykłym mu w każdem zakłopotaniu ruchem, ściągał na dół długie swoje wąsy. Adolf zmięszany i zdenerwowany, nie mógł ustać na miejscu i przestępował z nogi na nogę. Wyjął z kieszeni pulares, próbował zapalić papierosa, ręce mu drżały, dwa razy pudełeczko z zapałkami upadło mu na ziemię, trzy razy zapałka zgasła. Zapalił wreszcie, zaciągnął się raz dymem i odrzucił papieros precz od siebie.

— Co się to stało? — zapytałem.

— Przemokły, *voilà tout* — odpowiedział lakonicznie, z gestem smutnej rezygnacyi rozszerzając ramiona.

— Jakto? wszakże deszczu nie było od rana!

— Cóż ztąd? wpadły do wody.

— Gdzie? do strumienia?

— Do strumienia, kiedy czerpałem wodę kapeluszem...

Teraz dopiero wyjaśniło się, że ja mówię o pannach, a pan Adolf o papierosach.

Nadszedł pan Walenty i nie dał mi już przyjść do słowa.

— Otóż to macie! — prawił z wyrazem gorżkiej ironii — te wasze wycieczki, wyprawy bohaterskie na szczyty, marna poezya! Jak Pana Boga kocham, głupstwo. To nie dla kobiet! Nie lepiej to pannom było w domu siedzieć? Ale co z niemi robić! Uparły się baby: »Zakopane! Zakopane!« Masz teraz Zakopane!

— Ale cóż się to stało? powiedzcie już raz panowie, co się stało! — pytałem raz po raz.

— No, jak Pana Boga kocham: co się stało! czy nie widziałeś pan, co się stało? Józia zemdlała i nie może przyjść do siebie.

— Wiem. Ale dlaczego?... Zupełnie nie była zmęczona, biegła tak żywo, taka była wesoła...

— Et, co tu gadać! — machnął p. Walenty szeroką dłonią, jakby ziemię kropił, i wrócił znowu do kobiet.

Zwróciłem się do p. Bolesława, który tonął w zadumie, ciągnąc się za wąsy. Powieki miał zmrużone jak szpareczki. Żadnego nie umiał mi dać wyjaśnienia, nie był bowiem obecnym w chwili omdlenia, wybiegłszy naprzód z panną Ksenią.

Teraz już nie podlegało żadnej wątpliwości, że wina całego wypadku ciążyła na panu Adolfie, i że ten, korzystając z tego sam na sam, może nietaktownem, zbyt śmiałem obejściem, albo nawet zuchwałą próbą jakiego karesu, stał się przyczyną jej omdlenia. Dzieweczka wiejska, której, wbrew jej woli, parobek chce wycisnąć na ustach całusa, *lunie go w gębę,* ale panna taka, jak Józia, na to się nie zdobędzie, zamiast się bronić, zemdleje.

Spojrzałem na gładkiego młodzieńca, który blady i widocznie wielce zalterowany, przestępował ciągle z nogi na nogę, jak koń fiakierski. Przystąpiłem blizko, patrząc mu w oczy, i rzekłem dość ostrym tonem:

— Powiedzże pan nareszcie, jak się to stało! Pan musisz wiedzieć najlepiej.

— *Mon Dieu, est-ce que je sais,* jak się to stało? *Je n'en sais rien* — odpowiedział śmiało. — Była nierozmowna z początku, a potem rozmawiała tak żywo!... Zainteresowała się wypadkiem, o którym jej opowiadałem i wypytywała o szczegóły... Może i moja wina, ale czyż się mogłem spodziewać, że to ją tak będzie *impressyonować?...* Ale nawet wątpię, aby to wrażenie było przyczyną *de cet evanouissement,* bo już dość długo wtedy mówiliśmy o tem... *Elle m'a tendu la main et elle a dit:* Jakiś pan dobry! — *et voilà, tout d'un coup elle tombe raide par terre...* myślałem zrazu, że się pośliznęła na trawie...

Otworzyłem szeroko oczy, aby lepiej pochwycić treść tej bałamutnej makaronicznej relacyi i przerwałem zdziwiony:

— O jakimże to wypadku opowiadałeś pan pannie Józefie?

— *Ah, vous ne savez rien?* O panu Antonim. Przyniesiono go wczoraj wieczór do domu prawie nieżywego...

— Czy być może! — zawołałem przerażony.

— Spadł... stoczył się z jakichś... *le mot ne me revient pas*... aha! z jakichś »*piargów*«, czy coś podobnego. Rękę złamał i pokaleczył się mocno, szczególnie w głowie ma



dwie dziury głębokie... odzienie całe było na nim podarte w szmaty, nawet jeden but zgubił. Znaleziono wyżej jego pled i na nim go przyniesiono... *c'est tout ce que je sais;* dotąd nie odzyskał przytomności.

Nie byłem w stanie słowa przemówić. Chwy-

ciłem się oburącz za czoło. Wyobraźnia rysowała mi jasno w duszy miejsce, gdzie stało się to nieszczęście. To na owych *piargach*, po których wczoraj rano Antoś poskakiwał tak śmiało, a któremi wieczorem miał wracać, gdyśmy się pożegnali!

Pan Adolf opowiadał dalej tym flegmatycznym, salonowym tonem, jakim się zwykło »w dobrem towarzystwie« opowiadać o każdem, choćby najtragiczniejszem zdarzeniu.

— Doktor... no, trzech doktorów przyleciało... *vous concevez*, całe Zakopane było w ruchu... nic jeszcze stanowczego nie orzekli. Ręka złamana *c'est la moindre chose*, ale idzie o mózg, o te dziury w głowie i o wstrząśnienie mózgu.

Zapytałem o nazwiska doktorów, a Adolf wymieniwszy ich, mówił:

— Pierwszego z nich posadziłem przy chorym i zobowiązałem go, aby ani na krok nie oddalał się, chyba aż który z tamtych dwóch go zastąpi. Dał mi słowo, że go nie odstąpi aż do mego powrotu... bo to widzi pan, *il est chez moi*, w mojem mieszkaniu. Wy-

chodziłem wczoraj wieczór właśnie do Kasyna, a... nie wiem, czy pan wie, mieszkam prawie na końcu ulicy Kościeliskiej, *dans la cabane de Sierocki*... otóż widzę, że górale niosą coś w dużej płachcie i słyszę jęk... *mais je vous dit:* straszny jęk, aż mrowie przechodzi. Pytam więc, co to się stało... i dowiaduję się, że to pana Antoniego tak niosą, że go znaleźli na... *le drôle de mot ne me revient jamais*... na »piargach«... Otóż pan Antoni mieszkał na drugim końcu wsi, aż na Chramcówkach. Nie dałem go tam nieść tak daleko, bo by go może żywego nie donieśli i umieściłem tymczasem u siebie...

— To z tego powodu powiedziała panu panna Józefa: »jaki pan dobry!« Czy tak?

— *Précisement*... Właśnie jej to opowiadałem. Powiedziała: »jaki pan dobry!« podała mi rączkę i zemdlała.

Pan Adolf westchnął. Był widocznie wzruszony i znowu żywiej przestępować zaczął z nogi na nogę, kręcąc się w miejscu. Po chwili mówił dalej:

— Bo zresztą, nie można było nawet ina-

czej zrobić. Wie pan, on niema nikogo, ktoby się nim zaopiekował *et c'est un pauvre garçon*. Zatelegrafowałem do jego stryja, *c'est son tuteur*, niech co zarządzi, a tymczasem ja go zastąpię. Ale ten stryjaszek... znam go dobrze, *puisque c'est mon voisin*... to biedaczysko dzierżawca na małym folwarku, ma dziesięcioro dzieci, a długów po uszy. *Il ne pourra pas faire grande chose pour lui.*

Zaproponowałem p. Adolfowi, że najchętniej gotów jestem przyczynić się do wydatków, jakie choroba Antosia za sobą pociągnie, gdyż blizki z nim łączy mnie stosunek. Ale p. Adolf odrzekł nawpół obrażony:

— Wybacz pan, ale to być nie może. Ja go nie umieściłem w hotelu, ale przyjąłem do mego domu, i wydatki do mnie wyłącznie należą.

Nadbiegła panna Ksawera i oznajmiła nam, że siostrze jej już lepiej i będzie mogła iść już dalej z pomocą jej i matki, prosi jednak, abyśmy im nie towarzyszyli, ale szli zwolna naprzód, a gdyby naszej potrzeba było pomocy, to zostaniemy przywołani.

Wyruszyliśmy tedy ku *Bramie*. Wraca-

liśmy z wesołej wyprawy z pochylonemi głowami, pomału, krok za krokiem, smutni, jakby na pogrzebie za trumną. Porównanie to nasuwało mi się samo: obok mnie szedł p. Walenty, który ciągle wzdychał i stękał, trzymając w ręku chustkę, którą co chwila podnosił do twarzy, aby otrzeć pot z czoła. Przed nami szli obok siebie milczący Adolf i Bolesław, obaj z odkrytą głową; trzymali w ręku kapelusze, z których jeszcze woda ściekała.

Dowlekliśmy się wreszcie do *Bramy*. Wkrótce nadeszła i panna Józia, prowadzona pod ramię przez Ksenię i matkę. Była bardzo blada i zmieniona. Straszny ból malował się w jej wzroku.

Pomogłem jej wsiąść do wózka. Nie zapomnę nigdy jej spojrzenia, jakie na mnie padło. Wargi jej drżały jak w febrze, chciała coś rzec do mnie, ale wyrazy więzły jej w gardle. Przez łzy, które ją dławiły, jedno tylko szepnęła słowo, ale tak smutnym, tak niewypowiedzianie smutnym tonem, że mi się samemu serce boleśnie ścisnęło:

— Wie pan?...

W tem słowie i w dźwięku jej głosu odczułem wszystko i zrozumiałem.

Nic jej nie odrzekłem. Skinąłem tylko głową.



V.

W pierwszym wózku jechała Józia z panną Ksenią i z matką, w drugim ciotka i wujaszek a Bolesław na koźle dla asekuracyi cioci, na wypadek gdyby się wózek przewracał przy pochyłym zjeździe z lasu, lub na Gąsienicowym potoku. W trzecim wózku — ja z p. Adolfem.

Przez całą prawie drogę mówiliśmy o Antosiu.

— Szkoda go! — mówił Adolf o nim, jakby o umarłym — miałem wiele sympatyi dla niego. *Un peu étourdi*... to prawda, *et malheureusement démocrate*... jak większa część młodzieży jego kondycyi... Ja wiem, pan mu tego za złe niema, pan mu to wła-

śnie chwali... *Hélas, je le soupçonne même des idées socialistes...* przewrócona głowa... *Mais malgré cela* miałem pewną słabość dla niego, *et il était au fond bon garçon.* Byłby się z czasem wyszumiał, wyburzył i przyszedł do opamiętania, *comme la plus part* jego rówieśników... wie pan, przekonałem się nawet, że roztropna uwaga nie pada jak groch na ścianę i że można wpłynąć na niego i poprowadzić. Udało mi się to z nim już trzy razy.

Pomimo smutku, jaki mi duszę tłoczył, zbudziła się we mnie ciekawość, przy jakiej to sposobności p. Adolf na Antosia »wpłynął i poprowadził«. Zapytałem więc, czy mi nie może tego opowiedzieć.

— *Je le veux bien,* tylko niech pan nie robi z tego użytku, niech pan to na teraz zachowa dla siebie. Otóż zwierzył mi się p. Antoni, że przerzucając archiwum w Bibliotece Jagiellońskiej, znalazł oryginalne listy i inne dokumenta, dotyczące pewnej rodziny *de la haute volée...* ale pan wybaczy, że nazwiska nie wymienię... świadczące w sposób niezbity, że rodowód tej rodziny, znaj-

dujący się w kalendarzach Gothajskich i w dziełach hr. Borkowskiego i Żychlińskiego, jest poprostu... sfałszowany! *C'est un roman scandaleux* z przeszłego wieku... domyśli się pan... który przerwał pochodzenie po mieczu... *Entre nous soit dit,* jest to rzecz dość zwykła... ale takich rzeczy się nie głosi, bo by wtenczas demokracya wszystkie nasze rodowody zakwestyonowała. Otóż p. Antoni chciał to wydrukować! Długo musiałem mu perswadować i w końcu wyperswadowałem... Swoją drogą, napisałem list do bibliotekarza, żeby te dokumenty spalił.

— I cóż?

— Ach, odpowiedział mi, że mu nic palić nie wolno, ale że takich dokumentów niema i nie było. Ale pan rozumie, co ta odpowiedź znaczy.

— Że spalił?

— Rozumie się. Uratowałem w ten sposób rodowód jednej z najarystokratyczniejszych rodzin w kraju. Drugi raz zrobił znowu p. Antoni *wynalazek,* że w Bibliotece Jagiellońskiej znajduje się między rękopisami z czasów Jagiellońskich p r a w d z i w a teka Stań-

czyka... *vous savez,* tego, co był nadwornym błaznem królewskim... i daleko dowcipniejsza od podrobionej przez hr. Tarnowskiego et *ce cher Koźmian.* I tym także *wynalazkiem* chciał się pan Antoni popisać i wydrukować. Ledwie mu wyperswadowałem.

— A czemu?

— No, *vous comprenez,* byłoby to przykro hrabiemu, gdyby tamta była dowcipniejsza. A zresztą, czytał mi ustępy. Były tam takie niestosowne koncepta o szlachcie, jakie tylko błazen mógł pisać... a któreby zaraz nasze *warchoły* pochwyciły.

— A trzeci raz?

— *Ah! c'est tout autre chose!* Tamto, co opowiadałem, to się działo przeszłego roku, a teraz nastąpił skutek mojego wpływu. Powiedziałem przeszłego roku p. Antoniemu: wyszukujesz pan stare dokumenty i przeglądasz rękopisy po bibliotekach. To bardzo pięknie i zrobisz pan niewątpliwie ważny *wynalazek,* który panu zjedna uznanie. Ale do dokumentów historycznych nie bierz się pan, bo to dla pana zawcześnie, *vous êtes trop jeune.* Ja panu radzę, szukaj pan np. doku-

mentów poetycznych, tam się pewnie niejedno znajdzie w tym rodzaju. Może pan znajdziesz jakie nieznane wiersze pana Mickiewicza, pana Pola, pana Kochanowskiego, pana Zaleskiego i tylu innych poetów... No i proszę pana, posłuchał mojej rady i bardzo mi był wdzięczny. Szukał po całych dniach i jak przewidziałem znalazł.

— Cóż znalazł?

— Znalazł... ale pokażę panu, bo mi pozwolił odpisać i mam właśnie przy sobie. Myślałem, że zrobię tem przyjemność pannie Józefie, ale ona mi powiedziała, że nie lubi wierszy, a więc mogę panu dać. *Je n'en pourrai faire aucun usage.*

To mówiąc, sięgnął pan Adolf w zanadrze i podał mi zeszycik z wierszami *pana* Pola, *pana* Zaleskiego i *pana* Słowackiego, które miał znaleźć Antoś w Bibliotece Jagiellońskiej.

* * *

Bo to było bujnie, szumnie
I szeroko i przestronnie,
W zbożnym czasie wszystko tłumnie
I buńczucznie a zakonnie.

Bo gromada, to gromada,
A lud ludem, a świat światem,
Dobrą radą, dobra rada,
A wróg wrogiem, a brat bratem.

I praszczurów prawnuczęta,
Miłościwe święcąc lato,
Litym pasem na te święta
Ruń pszeniczną biorą za to.

(Wincenty Pol).

* * *

Och rosa, po rosie
Wymruga bo świt,
Przepióry w zakosie
Wciąż biją... pit, plit!

Statecznie, przystojnie,
W rozgłosach i łzach,
W rozdumkach po wojnie...
To Bojan, to Lach!

Step stepem na wieki
W mogilny rwie szlak,
A nam już powieki
Obrzękły na znak!

(Bohdan Zaleski).

* * *

Strzeżoga dusz.

Jak popielnica dźwięcząc etruska,
Styksowych nurtów stalowa łuska
W mszystych podzwania mgłach,
Sennej Nioby jasnemi sploty,
Jak gdyby marą dziecka-Heloty
W piekielnych skrzy się snach.

Żywicą podań, bursztynnym piaskiem,
Wyschłych odmętów świetlanym brzaskiem,
Bezwonnym pyłkiem mchu, —
Ona się wstrzępia w rozgwaru ścieki,
Ona się wsklepia w rozstrzygnień rzeki,
W okrężny sprzężaj tchu!

Biało i czarno w swym światłowidzie,
W ciemno-złocistej tarczy egidzie,
Orlęcą zwietrza strzeń,
Niby scytyjskiej tej wichrołomnej,
Najpierwszej z wieszczek wieniec ogromny
Z poczwarnych zwiany tchnień.

A wtedy... wtedy płomiennolica
Nikczemnych zgryzot szychem przyświeca
W egejski spiesząc gród,
Śmiechu zwęgleniem żywotochciwa
Rozjemnych sądów grzebień rozrywa
Klnąc własnych czynów cud.

Więc współoklasków niepomna własnych,
Bezświtu strzygą w przewzorach jasnych
Świecidłem mglicy tchnie,
Złorzeczy tylko odklęć pokorze
I na rozdrzewień swych sieciowzorze
Siatkuje skrę po skrze.

O biada wtedy wam niemowlęta
Kiedy w numidzki rozprzęg wprzęgnięta
Altejską zadmie pieśń,
Ona z lesbijskich kohort Seneką
Nad trzecią rzeką, nad piątą rzeką
Pomroki zdmuchnie pleśń.

Ona nadmiernych strzegotów czczością,
Orfejskich zwątpień sprawiedliwością
Rozstrzygnie życia zgrzyt,
Bo dla niej mglistość tęsknoty brańcem,
Bo dla niej zorze świtu zaprzańcem,
A słońcem tylko świt.

Idźcie więc ku niej, wy, jej potomni
Niech się w przegibach uwiekopomni,
Niech w znagleń zćmi się złość.
A druidycznej jemioły dzieci
Niech się nad wami w strzeżogach zleci
Bezgrzmotnych roztleń czczość!



VI.

Zatrzymał się wózek przed chatą Sierockiego, gdzie mieszkał pan Adolf. Były tam trzy izby, w największej umieszczono Antosia. Zaledwie stanąłem w progu, spostrzegł mnie lekarz i energicznym gestem dał znak, żebym nie wchodził, poczem przykładając dłoń do ust i chmurząc czoło, wymownym tym ruchem zażądał zachowania największej ciszy. Zatrzymałem się więc, nieśmiąc wejść, a pragnąc choć na chwilę obaczyć chorego i zasięgnąć od lekarza wiadomości. Stałem w progu, zaparłszy oddech w sobie i czekałem, nadsłuchując. Serce biło mi w piersiach jak młotem. Cisza była zupełna, muchę przelatującą można było usłyszeć, daleki tylko czasem

dolatywał odgłos oddalających się wózków lub jeszcze dalsze jakieś hukanie pastuszków z pod lasu.

Długo tak stałem nieruchomy i czułem, że nogi drętwieją podemną. Znużony, oparłem się ramieniem i lewą skronią o oddrzwia i przymknąłem powieki. I rzecz dziwna, w tej chwili żywo zbudził się w mej wyobraźni obraz owego Baczmahy grzęznącego w głuchej przepaści z pruchniejącemi pod sobą nogami, opartego lewym bokiem i skronią o glinianą ścianę... Nie myślałem już o Antosiu, tylko o owym szlachcicu, jakby o jakim rzeczywiście istniejącym człowieku, na wiekowe skazanym męki — i całą jego we własnych członkach odczuwałem torturę.

Jest to fakt, który każdy sam na sobie może sprawdzić (jakkolwiek doświadczenie to nie jest bezpieczne), że zmusiwszy się silnem postanowieniem do dłuższej nieruchomości, jakby zahypnotyzowani, wpadamy po pewnym przeciągu czasu w rodzaj katalepsyi i tracimy w końcu wszelką wolę poruszenia się i nawet świadomość możności ruchu. W podobnym stanie znajdowałem się wówczas i nie-

skończenie długo stałem tak w progu niezmieniając pozycyi — i wyobraźnią odczuwając torturę Baczmahy.

Jęk cichy, tak cichy jak brzęk muchy uwięzłej w sieci pajęczej, a niewypowiedzianie bolesny, doleciał mego ucha. Z tym jękiem spływała się mrzonka moja, wszystkie moje uczucia, w jedną nierozdzielną całość. Ciężka zmora gniotła mi serce i nie mogłem się ocknąć.

Szept jakiś w pobliżu zbudził mnie. Otworzyłem oczy i teraz dopiero spostrzegłem, że w pokoju Antosia znajduje się oprócz lekarza, także młody uczeń medycyny, wezwany przez niego do pomocy dla pielęgnowania chorego.

— Lodu! — szepnął lekarz, zbliżając się na palcach ku mnie. A widząc, że się nie poruszam, pochwycił mnie za rękę i wyprowadził do sieni.

Spotkaliśmy tam p. Adolfa, który wyszedł właśnie z swej izby.

— Każ pan więcej lodu przynieść — rzekł do niego lekarz.

— Jakże choremu? — zapytał p. Adolf.

— Źle bardzo.

— Czy jest nadzieja? — zapytałem.

— Nic nie wiem, nic nie wiem — odrzekł niecierpliwie. — Nadziei do ostatniej chwili się nie traci.

A po chwili dodał, zwracając się do pana Adolfa:

— Przez czas nieobecności pana, było tu najmniej pięćdziesiąt osób, dowiadujących się o chorego. Każdy pyta o to samo, każdemu muszę to samo powtarzać, niektórzy chcą tu ze mną głośne prowadzić rozhowory i rady mi nawet dawać. I bulioniki przynoszą i rosoły na kurczęciu, i plastry, i maści cudowne, i wodę z Lourdes! Z tymi wszystkimi już ja sobie nie dam rady! To jest śmierć! Jak pan nie postawisz górala na straży, aby tu nikt nie wchodził, to każ pan chorego wynieść zaraz na cmentarz, albo niech tu kto inny za mnie siedzi.

Obrócił się ku mnie:

— Proszę łaskawych panów tu nie przychodzić, bardzo stanowczo proszę! Idźcie panowie na wycieczkę, pogoda śliczna... albo nie, to ja pójdę...

— Przepraszam najmocniej pana konsylia-

rza, ale ja tu pierwszy raz. Nie miej pan za złe przyjaciołom chorego, że...

— Nie mam, nie mam, nie mam za złe nic nikomu! Ale dowiadujcie się panowie od p. Adolfa, a tu nie przychodźcie.



— Już nie przyjdę. Wybacz pan, jeszcze tylko jedno: czy chory przytomny?

— Nie, nie, nie, już mówiłem. Jeźli przyjdzie do przytomności, to nie prędko... ale wątpię. Czaszka... rozumie pan?... popękana jak garnek, któryby o ziemię rzucił. Rozumie pan? no, to i dość. W dodatku przed-

ramię złamane, noga w stopie zwichnięta, chrząstka w nosie strzaskana, lewe oko zagrożone... i różne obrażenia wewnętrzne... hohohohoo!... Zrobiliśmy opatrunek na razie. Jutro trzeba powtórzyć operacyą... Od pana Adolfa proszę panów się dowiadywać, od pana Adolfa tylko. Upadam do nóżek! moje uszanowanie!





VII.

Góral postawiony na straży, nie wpuścił mnie nazajutrz rano do chaty Sierockiego. Pełnił on swój obowiązek z pewną dumą, że mu tak ważna misya poruczoną została i w poczuciu swego prawa, był w swej gorliwości bezwzględnym i nieubłaganym. Ani perswazye nie pomogły, ani przerozumować i wywieść się w pole nie dał, ani przekupić. Przyjął cygaro z podziękowaniem i zapalił, przyjął ofiarowany mu *papierek* z pocałowaniem ręki, ale z miejsca ruszyć się nie chciał, ani nawet zanieść mego biletu Adolfowi, obawiając się, że gdy od wrót odejdzie, to ja pójdę

za nim. Spróbowałem wreszcie gniewać się i gwałtem utorować sobie drogę: nie będzie chłop śmiał »gwałt gwałtem odeprzeć« — pomyślałem. Otóż śmiał i gwałtu się nie uląkł wcale, zagrodził mi drogę, i widziałem, że gotów nawet wziąć się ze mną za bary, gdybym chciał siły próbować. Spojrzałem na niego, i widząc, że mu nie sprostam, dałem pokój.

Staliśmy tak chwilę naprzeciw siebie, spoglądając z pod oka, gdy nagle chłop się uśmiechnął i skrobiąc się za uchem, oświadczył, że teraz mój bilet gotów zanieść do chałupy. Zapytałem, czemu wprzódy nie chciał tego uczynić, — ale on zamiast odpowiedzi, przywołał przechodzącego drogą jakiegoś swego »*ujka*« i zaofiarował mu wyjęte z ust swych zapalone cygaro, którem tamten bezzwłocznie raczyć się zaczął, zamienili słów parę i »ujek« został na straży, a on odszedł z moim biletem, na którym nakreśliłem słów parę.

Za chwilę wrócił. Przyniósł mi przyozdobiony herbem, elegancki bilet Adolfa, na którym nakreślone było ołówkiem:

»Przepraszam, że nie przyjmuję. Stan jednakowy. Wieczorem będę u pani Józefowej. Przyjdź pan, opowiem detailicznie«.

Nie czekałem do wieczora, ale poszedłem tam bezzwłocznie, aby się dowiedzieć o zdrowiu panny Józefy. W progu spotkałem pana Walentego, który zapewnił mnie dziesięć razy, że »Pana Boga kocha« i powiedział, że dziewczę jest chore, zmęczone, zdenerwowane i dzisiaj z łóżka nie wstanie. Potem wyrzekać zaczął na Zakopane, na Tatry, na góry, skały, wodospady i górali, na wycieczki i niedorzeczne zachcenia kobiet, na turystów i Towarzystwo tatrzańskie, na Kasyno i restauracye — i na cały Boży świat. W ciągu tych gorżkich żalów, wspomniał kilka razy o pannie Róży, w sposób, który mi dał do myślenia i nasunął wniosek, że i ona w fatalnym musi być dziś humorze.

Pomimo obawy, jaką mnie przejmował zły humor panny »cioci«, wybrałem się jednak wieczorem do ich chaty, w nadziei, że zastanę u nich p. Adolfa i zasięgnę bliższych wiadomości o Antosiu.

W samej rzeczy, przyszedł p. Adolf w pół

godziny może po mem przybyciu, a z jego zjawieniem się, poprawił się także humor cioci, która tym razem i na Bolesławie wywierała srogą zemstę za odegraną wczoraj na hali Pysznej komedyę. Bolesław odetchnął, a Ksenia starała mu się wynagrodzić wycierpiane męki.

Adolf, zasypany pytaniami, opowiadał w najlepsze makaronicznym swym językiem, gdy otworzyły się drzwi z drugiej izby i ukazała się w nich panna Józia. Blada, weszła chwiejnym krokiem, zbliżając się wprost do pana Adolfa i podając mu rękę przyjaźnie.

— Jakto, Józiu? wstałaś? — zapytała ją matka zdziwiona.

— Ach, mamo, tak nudno mi było leżeć!... Usłyszałam głos pana Adolfa i wstałam... aby się dowiedzieć...

Twarz jej oblała się bladym rumieńcem, który więcej jeszcze uwydatnił, jak bardzo zmieniła się i zmizerniała w ciągu jednego dnia.

— O panu Antonim zapewne? — uprzedził ją pan Adolf. — Tak bardzo się pani wczoraj przeraziła mojem opowiadaniem! *c'est*

vraiment impardonnable de ma part, że pani opowiadałem o tym strasznym wypadku... ale nie wiedziałem, że pani taka wrażliwa...

— Jakże się ma pan Antoni? — przerwała Józia.

— Źle, bardzo źle... teraz wieczorem cokolwiek niby lepiej... Nadziei nie trzeba tracić, powiada doktor. Wszystko się robi, co można. Operacya odbyła się szczęśliwie. Po lekarstwo, bandaże, przyrządy chirurgiczne... posłaliśmy, telegrafowaliśmy do Krakowa. Nikogo do domu nie puszczamy, nikogo. Doktor zalecił przedewszystkiem ciszę i ciszę. Czuwamy nad nim dniem i nocą... *j'ai passé la nuit sans fermer l'oeuil.*

— O, pan jesteś bardzo dobry! — i podała mu rękę, którą on uścisnął i chwilkę małą zatrzymał w swej dłoni. Nie broniła mu tego, niebieskiemi swemi oczyma zdawała się go błagać z głębi duszy, aby i nadal równie »dobrym« pozostał dla Antosia.

Pan Adolf z całą naiwnością widział w tem tylko podziw dla swojej dobroci i szlachetności, i rósł w poczuciu próżności własnej. Odpowiadając na zadane mu pytania o Antosiu,

ciągle mówił o sobie, o sensacyach, jakich doznawał siedząc przy chorym, o wrażeniu, jakie na nim sprawiały szczegóły operacyi, o współczuciu i litości, jaką go przejmuje jego widok. Józia słuchała tego wszystkiego



z takiem zajęciem, jakiego przedtem nigdy nie udawało mu się wywołać, czuł się więc dumnym i szczęśliwym.

Biedna dzieweczka trzymała się mężnie, nadludzkie czyniąc usiłowania, aby nie dać poznać po sobie, jak wiele ją ten przybrany spokój kosztuje. Gdy jednak czuła, że siły się jej już wyczerpują i blizką jest omdlenia,

szepnęła kilka słów Kseni, i oparłszy się na jej ramieniu, wyszła z pokoju.

Za jej to niezawodnie poleceniem, Ksenia, wróciwszy do nas, powiedziała przy pożegnaniu p. Adolfowi:

— A jutro przyjdzie pan znowu do nas i opowie nam co się dzieje z panem Antonim... nieprawdaż?

Nie trzeba było p. Adolfa namawiać, przyszedł nazajutrz, przyjaźnie witany, choć gorsze przyniósł wieści; przychodził co wieczora i dni następnych. Stan chorego to pogarszał się, to znowu polepszał nieco, ale w ogóle nie uległ ważniejszej zmianie. Było dni kilka, w których lekarze żadnej już prawie nie robili nadziei, potem niewyczerpana siła młodości nową wywołała reakcyę i znowu słaba nadzieja zabłysła. Przytomności jednak chory dotąd nie odzyskał.

Nastały słoty, — a jeźli słota nigdzie nie rozwesela, to już chyba w Zakopanem napawa większym smutkiem niż gdziekolwiek na świecie. Skoro deszcze się zaczną, mgła przysłoni nietylko góry, ale i przedgórza, tak zwane *regle,* i cała okolica przybiera pozór

jakiejś jałowej, rozpacznej płaszczyzny, moczaru, zasianego tu i owdzie kupami potrzaskanych głazów. Nie wpływa ten widok korzystnie na melancholiczne usposobienia, a cierpień moralnych zaiste ukoić nie zdoła, raczej je bardziej rozrani.

Od dnia naszej wycieczki na Bystrą usposobienie panny Józefy uległo zupełnej zmianie, a wstrząśnienie moralne, jakiego zaznała, zachwiało widocznie jej zdrowiem. Na stargane nerwy wpłynęła teraz jeszcze i słota i wywołała nastrój umysłu, który w sercu matki groźne zaczął budzić obawy.

Zaczęto mówić o wyjeździe. Najbardziej na to nastawał p. Walenty, który od czasu, jak mu ubyli najlepsi partnerzy do *taroka,* wyrzekał na »koronne nudy« i zaklinając się, że »kocha pana Boga«, dowodził, że ci tylko do Zakopanego przyjeżdżać winni, którym *zbytek* zdrowia zawadza. W chwilach uniesienia dawał na to nawet swoje »szlacheckie słowo honoru«.

Innego zdania była ciocia — a ciesząc się coraz przyjaźniejszym stosunkiem, jaki się w ostatnich dniach nawiązywać zaczął mię-

dzy Adolfem a jej siostrzenicą, radziła, aby słotę przeczekać, a przynajmniej zatrzymać się jeszcze do zapowiadanego od dawna na cel dobroczynny tańczącego wieczoru w *Dworcu* tatrzańskim, gdyż, jak utrzymywała, całe »towarzystwo« poczytałoby im to za złe, gdyby przed ową zabawą wyjechały. Nawet pani hrabina by się mogła pogniewać — tem bardziej, że Ksenia miała na tym balu z jej synową sprzedawać bilety, a na urządzanym przez nią koncercie odśpiewać duet z Hugonotów z p. Bolesławem.

Panna Józia dowiedziała się ostatnia o projekcie wyjazdu. Wiadomość ta zelektryzowała ją nagle i wyrwała z bezdusznej zadumy, w jakiej całemi nieraz trwała godzinami. Przypadła do rąk matki i ciotki i, zapewniając że czuje jak jej pobyt w Zakopanem służy, że z każdym dniem czuje się teraz silniejszą, prosiła ze łzami w oczach, aby nie wyjeżdżać. Za jej przykładem poszła Ksenia i obie zapewniały, iż za dni kilka najpiękniejsze znowu zabłyśnie nad Tatrami słońce.

W samej rzeczy, pewnego wieczoru, słońce wychyliło się z po za chmur, a przymglone

jeszcze nieco lasy świerkowe niższych *regli* powlokły się znowu, jak bywa po deszczu, o zachodzie ową ciemno-szafirową aksamitną oponą, której żaden artysta odtworzyć pęzlem nie jest w stanie.

Na wieczorną herbatę przybył, jak zwykle, p. Adolf i tym razem pomyślniejsze nieco przyniósł wieści. Antoś zwolna odzyskiwać zaczął przytomność, od kilku dni już poruszał w gorączce ciągle ustami, szepcąc niezrozumiałe jakieś wyrazy i wołając czasami »mamo«... dziś powiedział kilka słów wyraźnie i z sensem: »boli bardzo głowa«... »kto tu?«... »nie ruszać mnie«... »lepiej dobić«... Lekarze, którzy już czwarte odbyli konsylium, upatrują w tych zmianach pomyślne wróżby i mają teraz stanowczą nadzieję utrzymania go przy życiu. Zamierzona początkowo amputacya nogi okazała się zbyteczną. Z czaszki odjęto kilka okruchów kości i zdaje się, że już tam nie będzie potrzeba ponawiać operacyi. Lewe oko tylko zagasło na wieki, przysłonione opadającą powieką.

Smutną te wieści były pociechą, ale zawsze pociechą.

Następne dni również przyniosły polepszenie: w młodzieńczym organizmie odradzały się siły z niepojętą szybkością. Gorączka ciągle się obniżała, chory sypiał dość spokojnie, jadł i domagał się pożywienia, częściej słowo jakie wymówił i zdawał się poznawać ludzi, którzy go pielęgnowali. Na pytania odpowiadał zwykle zrozumiałym gestem, ruchem ręki, skinieniem głowy, czasem słowem jakiem, a zawsze odpowiedź była rozsądną, — nie odpowiadał jednak nigdy bezwłocznie po zapytaniu, ale dopiero po dłuższej chwili, tak, jakby mu z trudnością przychodziło rozumieć co do niego mówiono, albo jakby odpowiedź na najprostsze pytanie dłuższego wymagała namysłu. Wyczerpany wysiłkiem mózgu, na dalsze zadawane mu pytania zwykle już wcale nie odpowiadał, albo też odpowiedź mniej była trafną. Przymykał wtedy powieki i odrazu zapadał w sen głęboki, jak człowiek ciężką unużony pracą.

Lekarze do jego łoża nie przypuszczali nikogo, a usilne prośby moje, aby mi go wolno było obaczyć choć na chwilę, poczytując za sentymentalizm, odprawiali zapewnieniem, że

za dni kilka nietylko go obaczyć, ale i pomówić z nim mi pozwolą. Usprawiedliwiali tem swój zakaz, że widok osoby, której od czasu nieszczęścia swego nie oglądał, sprawićby mógł na nim zbyt silne wrażenie, sprowadzić kongestyę i wywołać zaburzenia nerwowe. Musiałem się oczywiście poddać ich woli. Gorzką jednak ironią mi się wydało, że przystęp utrudniono dla mnie, którego łączył z chorym serdeczny stosunek, podczas gdy wolno z nim się widywać codzień Adolfowi, który mu był zawsze antypatycznym.

Minęło znowu dni kilka. Szybki przybytek sił fizycznych zadziwiał nawet lekarzy. Stan jednak umysłu i nerwów nie zadawalniał ich wcale, a nawet coraz poważniejsze budził obawy. Zdarzały się to krótsze, to dłuższe paroksyzmy nerwowe, wywołane czasem lada błahą przyczyną, które trudno było uspokoić. Zdarzyły się dni gwałtownego wzburzenia, z całą skalą przemiennych nastrojów i usposobień, to niespowodowane niczem wybuchy niepohamowanego gniewu, to znowu płacz spazmatyczny, lub dzika jakaś

gadatliwa wesołość, najprzykrzejsze sprawiająca wrażenie.

— Gdybyście państwo widzieli — mówił nam p. Adolf na wieczornej herbacie — jak się mój chory dziś śmiał szalonym śmiechem... to aż dreszcz przechodził po mnie. *Imaginez vous:* głowa obandażowana, zęby z przodu wybite, warga przecięta, policzki zapadłe, nos strzaskany, oko lewe martwe, i ten śmiech!... *C'était quelque chose de macabre!* ...po tej wesołości nastąpił płacz, łzy mu ciekły strugą po twarzy i szlochał tak, że aż nim rzucało i zachłysnął się od płaczu... *c'était navrant.* Doktor poszedł do drugiego pokoju po krople, a ja chciałem tymczasem go uspokoić i nachyliłem się nad nim... trzeba głośno mówić, bo niedobrze słyszy... a wtem jak dziki zwierz machnie ręką i mnie prosto w oczy... *nous avons oublié de couper ses ongles*... nawet mnie rozdrapał... *voyez-vous?*...

I przechylił się p. Adolf ku pannie Józefie, bladej jakby ją zdjęto z tortury. W samej rzeczy miał dość dużą szramę tuż pod okiem, zalepioną angielskim plasterkiem.

— Szczęściem, że mnie w oko nie trafił — opowiadał p. Adolf dalej. — Teraz znowu nastąpiła *depressya,* jak to nazywa doktor. Pół dnia już milczy, ze spuszczonem na dół spojrzeniem, jakby zawstydzony, i nic nie mówi, jakby odrętwiał, a na pytania nie odpowiada, nawet ust nie otworzy, aby przyjąć lekarstwo i trzeba je rozchylać. A tak silnie ma szczęki zaciśnięte, że doktor miał niemało z nim kłopotu... zupełnie jak martwy. Skorzystałem z tej chwili i poobcinałem tygrysowi paznogcie...

P. Adolf rad ze swego dowcipu zaczął się śmiać.

— Czy, kiedy jest spokojniejszym, mówi rozsądnie? — zapytałem.

— Kiedy jest spokojnym, nic nie mówi.

— Ale kiedy jest w usposobieniu normalnem?

— Ja nie wiem czy on był w niem kiedy w życiu — odezwała się ciotka.

Dowcip cioci podobał się bardzo p. Adolfowi.

— *Vous avez parfaitement raison!* nie był nigdy normalnym, mówi jednak czasem rozsądnie: na pierwsze, drugie pytanie od-

powiada *sensownie,* ale później już *dywaguje* i deklamuje wiersze. On tak pięknie dawniej deklamował... pamięta pani?... a teraz z powodu wybitych zębów i strzaskanej chrząstki w nosie zupełnie inny ma głos, a mówi tak niewyraźnie, jakby po szkle zgrzytał. Zaledwie zrozumieć go można. *Pauvre diable!...*

— Czy wie, co się z nim stało?

— Nie wie, nic nie pamięta. Doktor mówi, że to się zaczyna *amnezya wsteczna.* Powiada, że to może minąć i wtedy sobie chory wszystko przypomni. Ale jest także obawa, że nastąpi paraliż *postępowy... C'est drôle!* Te »wsteczne« i »postępowe« choroby, jak polityka...

Ubawił się p. Adolf dowcipną swą uwagą. Nastała chwila milczenia. Panie zajęte były haftem, Bolesław, siedząc przy pannie Kseni, pociągał na dół swoje wąsy, p. Walenty przy drugim stoliku tasował karty do »napoleońskiego« passyansa.

— *Tiens* — odezwał się znowu p. Adolf, uśmiechając się sam do siebie. I zwracając się do mnie, zapytał: — jak to mówi *le dicton populaire:* »Nie miała baba kło-

potu?...« To na mnie tak spadł p. Antoni, jak z nieba... Nie z nieba, ale z tych... *ah, le mot ne me revient jamais*... z tych *piargów!*... kłopot niemały i koszt... ale to najmniejsze. Ja się nie skarżę, *puisque cela me donne l'occasion* do dobrego uczynku. Stryj jego napisał mi, że zdaje opiekę na mnie, bo nie jest w stanie nic przysłać... ma złe urodzaje, proces z właścicielem majątku, długów po uszy i dziesięcioro dzieci... *figurez vous*, dziesięcioro! No, więc podjąłem się opieki, *et je ne manquerai pas* wszystko zrobić co się da, aby go ratować...

Tu zwrócił się do panny Józefy z kokieteryą dandysa:

— Panna Józefa mi powie: »Jaki pan dobry«, *et je me sentirai recompensé au delà du mérite.*

Józia podziękowała mu błagalnem spojrzeniem, pełnem niewypowiedzianego smutku i wdzięczności. W oczach jej szkliły się łzy, usta drżały, chciała coś mówić, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Łezka tylko upadła na robótkę, którą trzymała w ręku.

— Teraz ja powiem... *c'est a moi le tour...*

»jaka pani dobra«, że pani ma tyle litości nad tym biedakiem! Wszystko zrobię dla niego, co będzie w mojej mocy! Doktorowie mówią, że trzeba go zawieźć do Wiednia, do słynnego zakładu leczniczego, gdzie będzie miał ciągłą opiekę i wszelkie wygody, a może za jakie pół roku lub za rok zwolna przyjść jako tako do zdrowia... przynajmniej tyle, aby nie był ciężarem ludziom i sobie... Pytałem już o warunki umieszczenia w takim zakładzie... *Ça coutera diablement cher...* ale niech kosztuje co chce...

Tu znowu spojrzenie panny Józefy dostało się p. Adolfowi w nagrodę. Czy wyrażało prośbę, obawę, czy dziękczynienie — ja nie wiem. Takich spojrzeń opisać niepodobna, a zrozumieć trudno dla niewtajemniczonych w najskrytsze myśli dziewczyny, która takiemi jak Józia na Adolfa patrzy oczyma.

Pewnego dnia zauważyłem, że wygląda sposobności, aby ze mną pomówić sam na sam. Starałem się jej to ułatwić z pomocą Bolesława, który jednak w swej niedomyślności zaledwie zrozumiał o co mi idzie. Przy-

puszczałem, że panna Józia chce mi się z czemś zwierzyć. Tak było w samej rzeczy.

— P. Adolf postępuje bardzo szlachetnie z p. Antonim — rzekła mi, — jednakże... dziwnie to się stało, że on właśnie objął nad nim opiekę z woli jego stryja... zapewne zechce teraz odebrać jego rzeczy i papiery z dawniejszego jego mieszkania. P. Antoni pewnieby sobie był tego nie życzył, aby jego papiery przeglądano... szczególniej, aby je przeglądał p. Adolf... pan wie, jaką on czuł do p. Adolfa antypatyę... Czy nie możnaby temu przeszkodzić? Pan jeden mógłbyś to uczynić!... Zrób pan to! — dodała, składając ręce błagalnie — pan byłeś zawsze szczerym jego przyjacielem...

Teraz dopiero przypomniałem sobie to wszystko, co mi mówił Antoś w czasie fatalnej naszej wycieczki do owej groty, gdy przypuszczał, że może kark skręcić na usuwającej się z pod nóg ścieżce, polecenia, jakie mi dawał, aby w razie jego śmierci zwrócić pannie Józi znajdujące się w jego papierach listy jej i fotografie. Wstyd mnie ogarnął wielki, że o tem mogłem zapomnieć i że

nie przyszło mi na myśl zawczasu uchronić jego tajemnicę serdeczną, aby się nie dostała w niepowołane ręce, wtedy szczególnie, gdy Adolf obejmował nad nim opiekę.

Bezwłocznie udałem się do mieszkania, które zajmował Antoś przed nieszczęsnym wypadkiem. Powiedziano mi tam, że Adolf wczoraj właśnie kazał rzeczy Antosia zanieść do siebie. Udałem się więc do Adolfa.

Straż, niedopuszczająca nikogo do chaty Sierockiego, była już ściągniętą. Wszedłem niemeldowany do pokoju Adolfa.

Na podłodze stał otwarty kuferek Antosia, a p. Adolf, wyjąwszy jego teczkę, przeglądał ją właśnie w tej chwili.

Przywitawszy się, wykrzyknąłem, jakby zaskoczony niespodzianką:

— Wszak to kuferek Antosia!

— Tak — odrzekł p. Adolf spokojnie, zdziwiony moim okrzykiem.

— Jakto? i pan przeglądasz jego papiery?

— Tak jest, naturalnie, muszę przejrzeć — odparł równie spokojnie jak pierwej.

— Ależ panie! wybacz pan, mnie się zdaje,

że nie mamy prawa wdzierać się w jego tajemnice, korzystając z jego nieszczęścia...

Obrócił się z pewną urazą:



— Już to co do mnie, ja bardzo korzystam z jego nieszczęścia... *j'y gagne énormément!...*

Wyraz »korzystam« ze szczególniejszą wymówił ironią.

— Nie to chciałem powiedzieć...

Przerwał mi:

— A co się jego tajemnic tyczy, wcale nie jestem ich ciekawy... *des secrets de blanc-bec...*

— Być może... jednak on ich panu nie powierzył i mogę panu zaręczyć, że nie życzył sobie wcale, abyś pan przyszedł w ich posiadanie.

Wytrzeszczył na mnie zdziwione oczy.

W moim głosie przebijało się niewątpliwie pewne rozdrażnienie, a ludzie tępego umysłu, tak jak dzieci i zwierzęta, nieskończenie lepiej od ludzi myślących, odczuwają ton głosu i usposobienie tych, którzy do nich przemawiają: — pan Adolf przeniknął mnie na wskróś.

— Zkąd-że pan to możesz wiedzieć? — zapytał niedbale po dłuższej chwili milczenia, ofiarując mi cygaro, którego nie przyjąłem.

— Bo łączył mnie z nim stosunek blizki, pomimo różnicy wieku...

— I to mnie, mnie specyalnie nie życzył sobie odsłonić swych tajemnic studenckich? *Tiens, ça commence à devenir très interessant! Ça m'intrigue beaucoup.*

— Ani panu, ani nikomu nie życzył sobie zwierzyć tego, co mnie powierzył w chwili wielkiego niebezpieczeństwa... Dlatego jestem tego zdania, że należy jego papiery nieczytając... albo spalić... albo też zapieczętować, w celu oddania mu, gdy przyjdzie o tyle do zdrowia, żeby mógł sam niemi rozporządzić...

— O tem drugiem wątpię, aby to kiedy nastąpiło.

— Wątpisz pan, aby wrócił do zdrowia?

— *Demandez les medecins*... żaden z nich już nie obiecuje.

— Wszakże pan tego nigdy nie mówiłeś!

— Dzisiejsze konsylium dopiero tak orzekło... *ça peut durer encore quelque temps*... może się jeszcze ciągnąć parę miesięcy i rok nawet, ale o przyjściu do zdrowia niema chyba już mowy. *C'est irrevocablement fini.*

Boleśnie ścisnęło mi się serce. Długi czas nie mogłem słowa przemówić.

— Może pan papierosa pozwoli? — rzekł p. Adolf — mam bardzo dobre, prawdziwe Odeskie. Czy pan woli mocne, czy słabe?

Mechanicznie zapaliłem papieros i zaciągnąłem się dymem. Jakaś otucha wstąpiła

we mnie. Miałem zawsze wrodzoną jakąś opozycyjną skłonność budzenia w sobie nadziei, gdy mnie otacza zwątpienie, — wątpienia, gdy inni sądzą, że szczęście pochwycili już za skrzydła. Nader często skutek na moją stronę szalę przechylił i spełnił nieprawdopodobne przewidywania — dobre lub złe. Któż wie? — pomyślałem — lekarze mogą się mylić.

— Lekarze mogą się mylić, — rzekłem — ja nadziei nie tracę. W każdym razie, o tyle polepszenie nastąpić może, aby sam zadecydował, co należy zrobić z jego papierami. Możeby i teraz zapytać go można?

— *Mais il est complètement fou!* Obaczysz pan, sam się przekonasz!

— Czy wolno się z nim widzieć?

— Ach, wolno. Powiedzieli dziś doktorowie, że mu to nic już nie zaszkodzi, ani pomoże.

Wiadomość ta cięższej mnie jeszcze dotknęła. Świadczyła ona, że doktorowie najmniejszej już nie zachowali nadziei — a wiedziałem, że byli między nimi ludzie znakomitej nauki i sławy.

Adolf wstał.

— Dowiem się — rzekł — czy w tej chwili lekarz panu wejść pozwoli... Lekarz jest zawsze przy nim, zatrzymałem go, choć to się na nic nie przyda, aby nie mieć sobie nic do wyrzucenia. I odwiezie wraz ze mną chorego do Wiednia. Pojedziemy może pojutrze.

Wyszedł. W tej chwili głos mi jakiś poszepnął, aby korzystać z jego nieobecności i wyjąć z pomiędzy papierów Antosia, listy panny Józefy. Otworzyłem przymknięty kuferek i ukląkłszy na ziemi, zacząłem w nim szperać. Cała połowa kuferka była zapełniona bezładnie poskładanemi rękopisami, wypisami, listami.

Nie mogłem odszukać tego, na czem mi tak bardzo zależało.

Drzwi się otworzyły niespodzianie i pan Adolf zastał mnie przy tem zajęciu, klęczącego na ziemi przed kuferkiem.

— Ah! — rzekł niezbyt uprzejmym tonem — pan przeglądasz papiery.

— Tak jest — odrzekłem, o ile mogłem najspokojniej, niezaprzestając poszukiwań —

miałem polecenie od Antosia i chcę je wypełnić...

— *Excusez,* wybacz pan, ale ja na to zezwolić nie mogę. Nikomu jego papierów przeglądać nie dozwolę...

Podniosłem się. Krew we mnie wrzała.

Spostrzegł to widocznie p. Adolf i dodał słodkim tonem:

— Przepraszam łaskawego pana najmocniej! nikomu ich przeglądać nie mogę pozwolić... nawet panu! Ja tylko jeden mam prawo...

— Jakie prawo? — zagadnąłem szorstko.

— Prawo opieki. Stryj jego i opiekun zlał je na mnie. Mogę panu jego list pokazać... chcesz pan? Ja się o to nie starałem, nie pożądałem tego, *je vous le jure.* Spadło to na mnie jak z deszczem. Ale skoro je mam, to je mam... *et cela me repugne,* tem prawem się z kim dzielić. Nie mogę.

Niepodobna było zaprzeczyć słuszności tego rozumowania.

— Nie myślę panu zaprzeczać tego prawa — rzekłem po chwili — ale chciej pan zważyć, że choć Antoś wedle paragrafów prawa, nie jest pełnoletnim, nie jest jednak dzieckiem.

Jest on mężczyzną dojrzałym, który własną ma wolę i rozum, i za swoje postępki sam odpowiada. Nie zaprzeczyłbyś mu pan np. prawa bronienia własnego honoru... niewątpliwie przyjąłbyś był wyzwanie, gdyby zażądał od pana satysfakcyi... Czyż nie tak?

— Zapewne, zapewne...

— Otóż, jeźli się komu niema prawa odmówić satysfakcyi, to się niema prawa wdzierać w jego tajemnice, wbrew jego woli...

— Ależ ja się nie wdzieram!

— Przepraszam pana: stan, w jakim się znajduje, jest dla niego jakby noc. On teraz śpi, a w czasie jego snu...

— W czasie jego snu, chcesz pan powiedzieć, ja się zakradam i zabieram jego papiery? Ależ ja mu je zwrócę!

— Papiery, w których mogą się znajdować nietylko jego własne tajemnice, ale tajemnice osób trzecich, za których zachowanie on honorem ręczył...

— I ja za nie honorem ręczę i nie powiem nikomu... nikomu. Bądź pan spokojny. Zachowam te wielkie tajemnice, jakby moje własne. *Parole d'honneur.*

— Ale on sobie nie życzył, abyś je pan znał! czyż nie lepiej, abyś pan te papiery spalił?

— Tak pan radzi? obaczymy, obaczymy, może je spalę.

— Nie czytając!

— Obaczymy, obaczymy. Choćbym je czytał, to tak jakbym nie czytał. *Rassurez-vous, je saurez les garder ces secrets!*

Przerwało nam rozmowę wejście lekarza.

— Jeźli pan chcesz widzieć się z chorym — rzekł do mnie — to teraz chwila stosowna. Jest zupełnie przytomny... ale to niedługo potrwa. Idź pan zaraz, jeźli chcesz z nim pomówić.

Poszedłem. Przez sionkę weszliśmy do izby przylegającej do pokoju Antosia. Usłyszałem chrapliwym, słabym głosem, nuconą piosnkę, zaledwie poznałem głos Antosia:

Wesoło żeglujmy, wesoło
Po życia burzliwym potoku,
Jak orły w gradowym obłoku,
Choć wichry, pioruny wokoło,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

Serce mi się ścisnęło z bolu. We drzwiach pochwycił mnie lekarz za rękę i przytrzymał.

— Zapanuj pan nad sobą — rzekł, dostrzegłszy zapewne silne wzruszenie z wyrazu mej twarzy.

— Nie obawiaj się pan, potrafię zachować taki spokój, jakbym był lekarzem.

Uśmiechnął się i z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Pan nie wiesz co zobaczysz, jaką ujrzysz zmianę! Silnych trzeba nerwów... Czekaj pan, dam panu krople...

I pociągnął mnie ku stolikowi, na którym stała flaszeczka z kroplami laurowemi.

Wstyd mi było tych przygotowań i z oburzeniem odmówiłem stanowczo.

— Dziwne pan masz o mnie wyobrażenie! Nie jedną już widziałem okropność w życiu i obeszło się bez kropel. Zaręczam panu, że Antoś nie spostrzeże najmniejszego wzruszenia na mej twarzy.

Lekarz znowu się uśmiechnął.

— Ależ to nie o niego idzie. On nie spostrzeże, bo mało co spostrzega, a zresztą... jemu nic już nie zaszkodzi...

Zwróciłem się ku drzwiom. Lekarz wszedł pierwszy.

Wszedłem. Na łóżku nieco od ściany odsuniętem, na białej pościeli leżał... Czy to on? czy to on? Wiedziałem, że on, — a jednak ujrzawszy go, zaledwie uwierzyłem na prze-



kor świadectwu własnych oczu, które mi mówiły: nie, to nie on, nie on.

Okropny widok! Między Antosiem, którego obraz tak żywo miałem w pamięci, a tym ohydnym, wstrętnym, poobwijanym w bandaże kościotrupem... żadnego, najodleglejszego nawet nie odszukałbym podobieństwa. Gdyby mi po krwawej bitwie w lazarecie wojsko-

wym między stu ciężko rannymi kazano odszukać Antosia, każdego z owych rannych prędzejbym za Antosia poczytał, niż tę zmorę potworną... tak potwornie brzydką, że nigdy w życiu na jawie, a tylko raz we śnie gorączkowym, śmiertelnie chorym będąc, taką twarz ujrzałem! Długo ją pamiętałem wówczas, tak mi się głęboko wpiła w wyobraźnię i wzdrygałem się mimowiednie, ile razy ją sobie przypomniałem, — i usnąć nie mogłem, gdy mi na myśl ten sen się nasunął. Ale ta twarz Antosia, z kontrastem swym, z owem kwitnącem, a tak wdzięcznem niegdyś obliczem młodziana, stokroć brzydszą teraz mi się wydawała od sennych przywidzeń nerwowej gorączki.

Głowa poowijana paskami bandaży, cera jak wosk żółta, nos rozmiażdżony i zaklęsły, jedno oko gdzieś głęboko zapadłe w oczodole i przysłonione owisłą powieką, drugie szeroko otwarte, zapatrzone w powałę; brwi gęste i czarne, w nierównej na czole rozmieszczone wysokości; usta bezzębne, przetwarte. Warga z lewej strony głęboko przecięta i obrzmiała, odstawała wypukle od za-

padłego policzka, podczas gdy drugi wydawał się wydęty i opuchły... ach, nie będę opisywał tej maszkary strasznej, w jaką się zmienił urodziwy chłopiec, piękny do zakochania, a tak sympatyczny szlachetnym wyrazem swoich młodocianych rysów, kwitnących zdrowiem i czerstwością. Naprożnobym się nawet silił opisać! Każdy szczegół z osobna wzięty, nie mógłby sprawić tego wrażenia, jak całość jednem ogarnięta spojrzeniem.

Pocóż zresztą to wrażenie wywoływać w pamięci? Chyba na to, aby usprawiedliwić się, że ujrzawszy nieszczęśliwego, stanąłem w miejscu jak wryty i ani myśli pozbierać, ani słowa wyrzec nie byłem w stanie.



A Antoś śpiewał:

Wesoło żeglujmy, wesoło,
Po życia burzliwym potoku!
. . . .
. . . .

— Panie Antoni! — rzekł lekarz — przyjaciel przyszedł pana odwiedzić!

Nie zwrócił na to uwagi.

— Masz pan tu przyjaciela! — zawołał lekarz głośniej, przechylając się nad nim — masz pan przyjaciela!

Nie spuścił wzroku, utkwionego w belkach powały i zadeklamował:

— Ja mam, ja mam przyjaciela!
Konający Tukaj woła...
Ja umieram, ja nie płaczę
I wy chciejcie ulżyć sobie.
Prędzej, później, legniem w grobie...
Ja umieram w kwiecie wieku...
O potęgo! o człowieku!
Wielkie nic!... wielkość, czczy dymie!

Głos jego chrypiący, który przybrał jakieś dziwnie piskliwe, nosowe tony, sycząc w bezzębnych ustach, sprawiał wrażenie zgrzytania żelaza po szczerbach szkła.

— Panie Antoni! patrzno pan, kto tu przyszedł. Czy go pan poznajesz? — krzyczał mu lekarz nad uchem.

Zwrócił na mnie oko. A ja nie mogłem z miejsca się ruszyć, nie mogłem słowa prze-

mówić, głos mi uwiązł w gardle, dławiły mnie łzy, powstrzymane siłą woli.

Blaskiem jakimś rozjaśniła mu się źrenica. Widocznie nietylko mnie poznał, ale odczytał z mej twarzy wrażenie, jakiego doznaję. Roześmiał się i zaśpiewał studencką piosnkę:

O jerum, jerum, jerum,
Qualis mutatio rerum!
O jakiż że mnie wielki kiep,
Gdy już wszystko postradałem,
Cała fortuna wzięła w łeb...

Śmiał się na całe gardło spazmatycznie. Śmiech ten brzmiał jak szlochanie.

— Antosiu! — wyjąkałem z trudnością, przystępując do jego łoża — Antosiu!

Uspokoił się po chwili i uścisnął podaną mu rękę.

— Jakże się dziś czujesz? — zapytałem — jak ci jest?

Rozwarł szeroko źrenicę, ślizgając spojrzeniem po powale, potem ją przymrużył, jakby co przypominał. Po dłuższej pauzie, zadeklamował wiersz Bohdana:

— Dogorywam tak pocichu
I zagasnę bezpotomnie,

Że ni śladu, ani słychu
Nie zostanie nawet po mnie...

— Nie trać nadziei. Zwolna przyjdziesz do zdrowia, siły wrócą. Tylko bądź dobrej myśli i nadziei nie trać.

Nie dosłyszał. Nachylił ku mnie głowę z tym gestem, właściwym ludziom głuchym: dłoń przy uchu i usta przetwarte.

— Nadziei nie trać! — powtórzyłem.

Milczał chwilę, potem rzekł:

— Nadzieję cichem powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje,
Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiechem
Gdzież jestem — wołał — tu słychać nadzieję?...

— Antosiu — rzekłem — chciałbym cię zapytać...

Nie dał mi dokończyć. Przypomniał Słowackiego wiersz i wyciągając ku mnie ramię, zadeklamował:

— Bo to szaleni, co się wiecznie śmieją
I każdą rozpacz farbują nadzieją...

Zaczął się śmiać dzikim śmiechem, który mnie dreszczem przejmował.

— Antosiu, — rzekłem — czy chcesz, abym papiery twoje i listy wziął do przechowania, dopóki nie wyzdrowiejesz?

Zdaje się, że nie dosłyszał, lub nie zrozumiał pytania. Patrzał na mnie z utkwionem w moje oczy spojrzeniem, jakby szukał odpowiedzi. Potem rzekł:

— Po co mi trwać tu? Czy żebym się skarżył?
Rozpaczne skargi nucić, jam za dumny...
Kto się raz orłem pod błękitem ważył...

Urwał... Pokiwał głową smutnie:

— Niegdyś... niegdyś mi mówiono,
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały...

Przymknął oczy i leżał jakiś czas bezwładnie.

— Antosiu! — zacząłem znowu — Antosiu!...

Nic mi nie odpowiadał.

— Słuchaj mnie, Antosiu! Powiedz mi: czy mam wziąć twoje papiery do przechowania? czy mam...

— Czy mam znów nawiązać krwawą
Rozerwaną nić?

Wrócić z bolem i niesławą,
Niemogąc się mścić?...
. . . .



Czy mam jeszcze marnym cie-
Na mogile stać? [niem
Fosforycznym lśniąc promie-
Przeszłą męką trwać? [niem

Co noc boleść swą odświeżyć,
Wskrzesić wspomnień moc,
I pozorem życia przeżyć
Nieskończoną noc.

Pochwyciłem go za rękę i ścisnąłem silnie, wstrząsając nią.

— Nie deklamuj, ale uważaj o co się pytam. Słuchaj! budzę cię!

— Kto mnie budzi, kto mnie woła?
Po co na świat rwie?
Czyż mi jeszcze zwrócić zdoła
Jasne życia dnie?

Czy mi odda rozkwit ciała,
Świeżych zmysłów wdzięk?
Rozkosz co je nastrajała
W harmonijny dźwięk?

Nie wiedziałem jak sobie począć, aby uzyskać od niego odpowiedź na moje pytanie. Że mógł mi odpowiedzieć rozsądnie, nie potrzebowałem wątpić, bo choć to nieustanne deklamowanie świadczyło o nienormalnym stanie egzaltacyi, jednak to, co deklamował, miało znowu ścisły związek z jego położeniem. Wybór, jaki czynił w zapamiętanych przez siebie poezyach, świadczył nawet o rzadkiej bystrości umysłu.

Pomimo to, kilkakrotnie jeszcze powtórzyłem pytanie bez skutku.

— Uważaj! tu idzie o twoją tajemnicę!

Deklamował dalej:

. . . .

— Nie, ja spocząć chcę na wieki,
Od duchów i ciał
Równie obcy i daleki
Będę cicho spał.



Chcę pozostać zimny, czysty
Na posłaniu mchów,
I spoczynek mieć wieczysty
Nieprzerwanych snów...

. . . .

— Antosiu! ocknij się, tu idzie o to co ci w życiu najdroższem!

— Co w życiu najdroższem, co było ci blizkiem,
Omdlewa w pomroce — i gaśnie — i kona
I woła do ciebie:
»Skończony twój dzień,
Pożegnaj ty młodość,
Idź w cień! idź w cień!«
. . . .



Ach gdzież się przytulisz, ach [gdzież spoczniesz ty?
Już rosa opada... to łzy, to [łzy...

— Antek! panna Józefa kazała cię pozdrowić...

— Już rosa opada... to łzy, to łzy...

— Antek!...

— I woła do ciebie: skończony twój dzień,
Pożegnaj ty młodość, idź w cień, idź w cień...

Nie raz jeden i nie dziesięć razy jeszcze, wołałem na niego »Antek!« chcąc go przywieść do przytomności — wszystko napróżno. Odpowiadał mi zawsze wierszem, w sens i bez

sensu, wreszcie przestał odpowiadać zupełnie, przymknął oczy znużony i usnął.

Stałem czas dłuższy nad jego łożem, bezradny, zadumany, nie chcąc ani snu mu przerywać, ani go opuścić... i byłbym stał tak długo, gdyby mi lekarz nie był położył dłoni na ramieniu. Ocknąłem się.

— Chodź pan... daj mu pan spać. To jego szczęście, że usypia tak łatwo.

Odszedłem, nie pożegnawszy się ani z lekarzem, ani z Adolfem. — Szedłem do domu jak senny, nie witając się ze znajomymi, których spotykałem po drodze, nie odpowiadając na pytania. Serce ściskało mi się tak boleśnie, jak mało kiedy w życiu.

Wróciwszy do mojej chaty, położyłem się na łóżku, dłonią przykryłem oczy, jakbym w ten sposób pozbyć się miał widoku, który tak żywo wżarł się w moje źrenice, żem widział go wszędzie, na cokolwiek patrzyłem: — wszędzie ta strasznie wstrętnie okaleczona twarz poczciwego Antosia, wszędzie ten ohydny kościotrup o żółtej, woskowej cerze, z nosem zaklęsłym głęboko i rozmiażdżonym, z jednem okiem zapadłem w oczodole, a drugiem

otwartem szeroko, jakby przerażonem. Te brwi nastruszone krzywo na czole, te policzki nierówno obrzękłe; wargi przecięte, opuchłe, przetwarte, jakby łaknęły powietrza; ta jama ustna, bezzębna, z której głos wydobywał się chrapliwy... wszędzie go widziałem, wszędzie słyszałem ten głos, do zgrzytu i harkotania fonografu raczej, niż do ludzkiej mowy podobny...

Napróżno starałem się walczyć z siłą doznanych tak przykrych wrażeń; zawładnęła ona wyobraźnią moją, nerwami, uczuciem, myślą i nie dawała przystępu czemu innemu. O niczem innem myśleć, niczem zająć się nie byłem w stanie. Napróżno brałem do rąk książkę, — nie rozumiałem co czytam, a słowa czytane brzmiały mi w duszy tak, jakbym je słyszał wymówione głosem Antosia. Zasiadałem do pracy, próbowałem pisać — a z pustej ćwiartki papieru, spoglądało na mnie to oko Antosia, szeroko rozwarte, jakby z wyrazem przerażenia... i zamykało się potem opadającą powieką... i znów je po chwili widziałem otwarte, wypatrzone wprost na mnie.

Wstyd mi było chorobliwej wrażliwości mojej, a poskromić jej nie byłem w stanie. Miałem takie uczucie, jakbym tego żałosnego a wstrętnego obrazu, nigdy już z przed oczu mej duszy uchylić nie zdołał, jakbym całe życie nosić z sobą był skazany tę strzałę, która swemi strzępami w ciele ugrzęzła i wyrwać się już nie da, chyba z ciała kawałem. Głosy i szmery wszelkie, które dolatywały mego ucha, choć najniepodobniejsze, wszystkie bez wyjątku, przybierały w mej świadomości akcenta do Antosiowych podobne i przypominały mi zgrzytliwe, rytmiczne intonacye deklamowanych przez niego wierszy.

Daleko odbiegły mi myśli. Starałem się wskrzesić w pamięci inne, dawno widziane, straszniejsze stokroć postaci rannych w lazaretach... sądziłem, że tem wspomnieniem wyprę z wyobraźni widok Antosia. Napróżno. Koloryt owych wspomnień, zabarwiał tylko tem silniej świeże wrażenie, które tak wstrząsło memi nerwami.

Pogoda była przecudna. Postanowiłem wyjść z domu i daleką, nużącą przechadzką wśród

skał i lasów, podniecić siły do większej przeciw widziadłom chorobliwym odporności.

W progu spotkał mnie posłaniec telegraficznej stacyi.

Telegram, jaki mi przyniósł, heroicznem był na moje nerwowe rozprzężenie lekarstwem.

Wiadomość w nim zawarta, ciężką mnie obarczyła troską, lecz oraz obowiązkiem, domagającym się bezwłocznego wyjazdu. Była to sprawa niezwykłej wagi i doniosłości.

Spojrzałem na zegarek, czy czas mi wystarczy, aby zdążyć na najbliższą stacyę kolei, przed przyjściem pierwszego pociągu.

Posłałem po konie, ofiarując się w dwójnasób zapłacić zwykłą cenę jazdy, jeźli na pociąg się nie spóźnię. Tymczasem zabrałem się do pakowania moich rzeczy. Odzienie, bieliznę, książki, papiery, wrzucałem bez ładu do kuferka, motłosząc i przygniatając kolanami, aby się wszystko zmieściło.

O Antosiu, o Józi, o znajomych w Zakopanem nie myślałem już wcale.

Nie minęło dwadzieścia minut, a siedzia-

łem już na wózku, góral co żywo popędzał konie. Nie pożegnałem się z nikim w Zakopanem, nikomu nie dałem znać o moim wyjeździe.



VIII.

Sprawa, która spowodowała ten nagły wyjazd, żadnego z treścią tej noweli nie miała związku, — tyle chyba, że mnie usunęła z widowni dalszych wypadków.

Na tym tedy wyjeździe moim powinienem zamknąć opowiadanie, osnute na tle osobistych wspomnień.

Wspomnień dalszych, dotyczących osób skreślonych w tej nowelce, nie mam prawie wcale. Nie rychło spotkałem się już z niemi. Raz jeden tylko widziałem Antosia.

O tem widzeniu się z nim chyba opowiem. A dla zaspokojenia ciekawości czytelników dodam krótką wiadomość o dalszych losach innych osób tego opowiadania.

Kilka lat upłynęło i już niektórzy z tych naszych znajomych nie żyją, a gdyby czytelnicy zgadywać chcieli kto z nich nie żyje, to mógłbym iść o zakład, że nie zgadną.

Gdyby to co piszę było powieścią, artystyczne względy domagałyby się logicznej konsekwencyi wypadków, tak, aby z nakreślonej sytuacyi i narysowanych charakterów wysnuć można nieuchronne na pozór w dalszych losach następstwo. Ale życie nie jest powieścią i na losy ludzkie wpływają niezliczone czynniki, których wszystkich powieść objąć nie może. Działalność tych czynników krzyżuje się i gmatwa tak, iż w życiu nie sposób przewidzieć przyszłości, którą w artystycznie nakreślonej powieści domyślny czytelnik zwykle w połowie tomu już przewiduje. Życie nie jest powieścią.

A śmierć... Rzecz dziwna, że mitologia maluje kupidyna z zawiązanemi oczyma — a nie maluje tak śmierci. Wszakże i śmierć na oślep rzuca swoje pociski, jak miłość. Nikt nie zgadnie kogo pocisk jej pierwej ugodzi. Mówią starzy ludzie: »nikt nie zgadnie kto z brzegu«.

Ale zanim o śmierci powiemy, wprzód nam się godzi wspomnieć o Hymenie.

Dwie pary stanęły na ślubnym kobiercu.

Odgadli już pewnie czytelnicy, że Ksenia oddała rękę Bolesławowi. Odgadły i to pewnie szanowne czytelniczki, że Józia po dłuższem wahaniu uległa życzeniu matki a naleganiom ciotki i wuja i poślubiła Adolfa. Gdym się o tem dowiedział, że się to stało, czego z mej strony nie przewidywałem wcale, przypomniałem sobie jej słowa wyrzeczone do mnie na Bystrej nad przepaścią: »Wolałabym skoczyć w tę przepaść, sto razy bym wolała...«

Tak mówiła — a jednak nie skoczyła w przepaść i wyszła za Adolfa. Jestem jednak pewny, że nie uczyniła tego wyłącznie pod naciskiem ze strony swojej rodziny, inne także a daleko ważniejsze musiały do tego postanowienia przyczynić się pobudki.

Troskliwa i szlachetna opieka, jaką Adolf otoczył Antosia od pierwszej chwili, już ją w części przejednała. Szczerą uczuła dla niego wdzięczność i coś nakształt przyjaźni. Uczucie lekceważenia i pogardy dla salonowca, któremu wpierw wszelkiej wartości moralnej

odmawiała, zmieniło się nagle w wręcz przeciwne usposobienie, w coś podobnego do podziwu, nieledwie do uwielbienia nadludzkiej szlachetności i wzniosłości charakteru: wszak on mógł się domyślać w Antosiu rywala? wszak niepodobna, aby nie dostrzegł szyderstw jego i usiłowań wystawienia go na pośmiewisko? — a jednak pomimo tego zaopiekował się nim tak szlachetnie! Czy to nie wzniosłe?

Czyż mogła się była spodziewać, że Adolf wyższym się jej ukaże od Antosia? A jednak teraz wydało jej się, że pogardzany przez nią dandys, szlachetnością uczucia prześcignął poetę. Przeświadczenie to było zrazu dla niej bolesnem, a zwolna łączyło się z innem uczuciem, którego nigdy nie doznawała wobec Antosia, — z uczuciem zawisłości i obawy. Gdy Adolf z woli stryja Antosia prawną nad jej ukochanym uzyskał opiekę, czuła, iż teraz cała tegoż przyszłość od tego niespodziewanego opiekuna wyłącznie zależy. Drżała na myśl, że gotów zniechęcić się czemkolwiek, poskąpić środków, lub niedość gorliwą otoczyć go troskliwością. Gotowa była

tę dalszą pieczołowitość największą nawet z swej strony okupić ofiarą. Adolf z dniem każdym zbliżał się do celu.

Taki był ich stosunek wzajemny, w chwili, gdy wyjechałem z Zakopanego. Jaki obrót następnie wzięła sprawa, odgadnąć mi trudno. Nie wiem czy Adolf znalazł w papierach Antosia fotografię Józi i owe dwa liściki, o których mi Antoś wspominał w dniu pamiętnej naszej wycieczki. Jużci znaleźć je musiał. Ale czy poznał pismo Józi? i jaki z nich zrobił użytek?...

Czy z ową wyrafinowaną delikatnością, jakiej ludzie mu podobni dają czasem dowody, spalił je i nigdy o nich nie wspomniał? Czy chcąc szlachetnością zjednać sobie Józię, jej oddał? Czy może przeciwnie, znalazłszy się w ich posiadaniu, użył je a raczej nadużył do wymuszenia niemi przychylnej odpowiedzi Józi?

Ostatnie przypuszczenie najmniej mi się wydaje prawdopodobnem. A jednakże...

We trzy lata spotkałem się z młodą parą najniespodzianiej w Franzensbadzie w *Caffe-Parku.*

Pani Adolfowa była cierpiącą, mizerną. Żyli na wielką stopę — jak milionerzy, co mnie niemile zdziwiło. Dowiedziałem się, że pan Adolf sprzedał wioskę, którą wziął w posagu i że zamierza natomiast dokupić kawał ziemi, przylegającej do jego majątku. Domyślałem



się, że nietyle przykupno miał na myśli, jak oczyszczenie srodze obdłużonego własnego majątku. Tymczasem nie szczędzili grosza na wydatki, starając się rozpędzić nudy franzensbadzkie, jak umieli.

Zapytałem o pp. Bolesławów.

— Ah, oni szczęśliwi, mają córeczkę! — rzekł p. Adolf takim tonem, który kazał mi

domyślać się, że pp. Adolfowie nie cieszą się równem błogosławieństwem niebios.

— Czy mieszkają na wsi?

— Na wsi, u mamy — odrzekła pani Adolfowa.

Zapytałem o zdrowie pani Józefowej.

— Mama od śmierci cioci nie może przyjść do siebie...

Dowiedziałem się tedy niespodzianie o śmierci cioci Róży.

Rozmowa sama przez się zeszła na wspomnienia dni, spędzonych razem w Zakopanem.

O Antosiu wiedziałem, że jest ciągle w zakładzie sanitarnym pod Wiedniem. P. Adolf sam pierwszy zaczął o nim mówić:

— Utrzymujemy go naszym kosztem... Lekarze mówią, że może w tym stanie przeżyć jeszcze lat kilka.

— Czy bywa świadom niekiedy swego stanu? czy czasem bywa przytomnym?

— Teraz już nigdy. Po przyjeździe do Wiednia miewał jeszcze czas niejaki dni takiej połowicznej przytomności jak w Zakopanem i w stanie takiej ekscytacyi dekla-

mował wiersze, niby z sensem jakim takim, ale od dwóch lat zupełnie nic nie mówi, nawet karmionym być musi gwałtem. Rozchylają mu usta i wlewają bulion. *C'est horrible!...* ale ludzie niereligijni zawsze tak kończą.

Niesłyszałem wprawdzie nigdy, aby miało to być losem niedowiarków, że im bulion gwałtem wlewają do gardła — i gdyby to nie o Antosiu była mowa, byłbym może na ten frazes niedorzeczny parsknął od śmiechu — ale tym razem przykrego doznałem uczucia: frazes pobożny p. Adolfa brzmiał tak, jakby chciał powiedzieć, że Antoś słuszną odbiera karę.

Spojrzałem na panią Adolfowę. Wyraz jej twarzy nie zmienił się wcale, snadź frazesy takie jej małżonka były dla niej chlebem powszednim. Rozmowy naszej o Antosiu zdawała się obojętnym być świadkiem.

Przez chwilę zapanowało milczenie po frazesie p. Adolfa. Chcąc dalszą nawiązać rozmowę, rzekłem:

— Nie wiem dlaczego go pan pomawiasz o niereligijność; nie znałem go z tej strony,

wiem tylko, że żywo mu biło serce dla ludzkości, dla wszystkiego co dobre i wzniosłe.

— *Excusez... ce n'est pas la vrai religion.* To tylko poezya. Victor Hugo, Słowacki, Asnyk, uczucia humanitarne... *l'enfer en est pavé.* Heinego sobie najbardziej umiłował i w jego tece pełno było wierszy *à la Heine.* Straszne rzeczy! poezyę znał wybornie, a tylko nie pamiętał o ślicznym wierszu pana Pola: »Nic nad Boga!« A pisał, pisał bez końca... cały kuferek pełny wierszy, powieści, nowel, studyów literackich... Nie przeczę, zdolności miał niepospolite... ale jak je użył!

— Czy nie możnaby z tego co wybrać do druku, aby została jakaś pamiątka po nim?

— Ach, nie. Nic tam nie było takiego... Zadałem sobie tę pracę, aby to przejrzeć wszystko... i co mi się lepszem wydało, bo przynajmniej nie obrażało uczuć religijnych, zaniosłem naszemu profesorowi do zaopiniowania, ale powiedział, że to dobre tylko pod placki. Jedna tam tylko była nowelka fantastyczna, pisana jakby w innym duchu, z pe-

wnem przejęciem religijnem... jaki to tytuł był Józiu?

— *Baczmaha*...

— Baczmaha? — wykrzyknąłem, przypomniawszy sobie podrobiony na dyplomie pergaminowym memoryał.

— A tak, *Baczmaha*. No, ale profesor powiedział, że to tylko nieudana próbka naśladowania Edgara Poë...

— I cóżeś pan zrobił?

— A cóż miałem zrobić? Przechowywać tego archiwum nie mogłem, bo mogłoby się było jeszcze w złe ręce jakie dostać. Spaliłem.

— Jakto? spaliłeś pan! wszystko?

— Spaliłem — odrzekł spokojnie, zdziwiony nieco gwałtownością mego wykrzyku. Widocznie nie pojmował nawet, aby mu to mógł kto brać za złe. Wszak ja sam mu doradzałem, aby nie przezierając, spalił papiery Antosia.

Spojrzałem na panią Józefę, na jej bladej twarzy ani jeden nerw nie zadrgał. Ani łzy żalu w oczach, ani przelotnego nawet błysku oburzenia. Patrzała bezmyślnym wzrokiem na męża, tak jakby on o najobojętniejszym dla niej mówił przedmiocie.

Czy może w samej rzeczy zobojętniała już zupełnie — nawet dla wspomnień? Czy w uściskach p. Adolfa ostygło jej serce, czy zdrętwiało? czy krew przestała krążyć w jej żyłach, czy tętna pulsować przestały, a dusza usnęła snem letargicznym? Nie umiałem wytłumaczyć sobie tej zagadki.

— Spaliłem wszystko, wszystko — mówił dalej p. Adolf — co do ostatniego świstka: powieści, wiersze, rozprawy krytyczne, filozoficzne, notatki, korespondencye socyalistyczne i romantyczne... listów i pamiątek od różnych panien była spora kollekcya... Wszystko spaliłem... z wyjątkiem jednej fotografii...

Spojrzał na żonę. Zdawało mi się, że przelotny blady rumieniec przemknął po jej twarzy.

— Czy państwo długo tu jeszcze zabawią? — zapytałem, aby przerwać milczenie.

— Nie; moja żona już kończy kuracyę. Jedziemy potem do Włoch i na *Rivierę*, zimę tam spędzimy... Chcielibyśmy także pojechać do Lourdes... – Minę nastroił pobożną.

— Zatrzymają się państwo w Wiedniu?

— Dzień, dwa dni zapewne.

— Obaczą państwo Antosia?

— Oh, moja żona za nic w świecie by go nie chciała już widzieć. Widziała go, gdym go wywoził z Zakopanego i przypłaciła to wrażenie ciężką chorobą...

— Ah, więc widziała go pani?

— Perswadowałem, prosiłem, aby się przy tem nie upierała, ale nic nie wskórałem. Obiecała mi, a jednak potem ciekawość przemogła, a Boleś, mój kochany szwagierek, dopomógł: zatrzymał furę, gdy przejeżdżała koło ich mieszkania... i stało się nieszczęście...

— Pojmuję dobrze, jak pani musiała się przerazić...

— Ale jak! Kiedy go tylko ujrzała... ten głos... a trzeba dodać, że był wtedy w szalonym humorze, tak go rozmarzyło świeże powietrze... wyśpiewywał bezecne piosenki jak pijany...

— Nie poznał?

— Naturalnie, że nie... *mais n'en parlons plus, je vous en prie*... On się czasem i teraz jeszcze przyśni Józi i budzi się cała drżąca i strasznie zalterowana, jak wówczas... Przez długi czas wtedy po tem zaspokojeniu swojej

ciekawości budziła się ze snu prawie co nocy z krzykiem okropnym, zupełnie odchodząc od zmysłów z przerażenia...

Pani Adolfowa w ciągu tej rozmowy nie odezwała się ani słowem, tak jakby to nie o niej mowa była. Obojętnie patrzyła przed siebie na spacerujące po deptaku elegantki, podnosząc czasem do oczu lornetkę. Ani śladu wzruszenia lub zainteresowania nie dostrzegłby nikt na jej twarzy.

W kiosku, naprzeciwko naszego stolika, dyrektor orkiestry Tomaschek z batutą w ręku zajął miejsce dyrygenta.

Zabrzmiał słynny marsz z *Proroka.*

Rozmowa się przerwała.

Słuchając muzyki z roztargnieniem, napróżno starałem się w duszy rozwiązać zagadkę, jaką dla mnie tworzyła ta szczególna para.

— Zapomniała? czy marzy o nim ciągle? Co przeważyło szalę w jej postanowieniu, co ją skłoniło, aby oddała rękę Adolfowi? Czy kocha go dzisiaj, czy też czuje się nad wyraz nieszczęśliwą niewolnicą? cierpi strasznie, czy już zdrętwiała od bolu i zobojętniała na wszystko?

Kilkakrotnie jeszcze spotkałem się z niemi przed ich wyjazdem z Franzensbadu. Zagadki, która mnie szczerze zainteresowała, nie udało mi się rozwiązać.

Wyjechali.

Minęło lato, minęła jesień i zima.

Los tak zrządził, że wbrew moim zamiarom i skłonności zimę spędziłem za granicą, na południu. Nie dla własnej potrzeby lub przyjemności, ale dla ratowania zdrowia, które od własnego jest mi droższem, drugą połowę zimy przebyłem nad zatoką Adryatyku, w Abbazyi.

Rzadko odbierałem listy z kraju, pisywałem jeszcze rzadziej i wszystkich znajomych straciłem z oczu.

Pewnego dnia o zmroku siedziałem nad morzem pogrążony w zadumie, przypatrując się falom, gwałtowniej tego dnia rozkołysanym i rozbijającym się o brzegi.

Nagle usłyszałem moje nazwisko, wymówione z cudzoziemskim pytającym akcentem. Obróciłem się: pytającym był listonosz.

— Tak, to ja — odrzekłem. — Czy masz pan list do mnie?

Podał mi list nieznajomą adresowany ręką do Krakowa, a ztamtąd przysłany do Abbazii. List był w żałobnej kopercie z czarnemi obwódkami. Kopertę rozdarłem i spojrzałem na podpis. List był od Bolesława.

Korespondował on ze mną nadzwyczaj rzadko, toż niedziw, że nie poznałem zrazu pisma. Zaniepokoiła mnie czarna obwódka, pragnąłem dowiedzieć się coprędzej o powodzie tej żałobnej oznaki. Próbowałem czytać, zanadto jednak już ściemniło się na dworze i zaledwie pierwszych kilka wierszy zdołałem odcyfrować. List zaczynał się od słów:

»Wiesz już zapewne o dwóch ciosach bolesnych, które prawie jednocześnie dotknęły nasz dom przeszłej jesieni... Moja biedna żona skonała na moich rękach, przywodząc mi na świat syna sierotę...

— A więc biedna Ksenia nie żyje! — zawołałem i dziwnem skojarzeniem myśli w tej samej chwili nasunęło mi się wspomnienie owego szałasu na polanie Pysznej, serenady Bolesława i jego sprzeczki z przewodnikiem i zdawało mi się, że słyszę jeszcze ten per-

listy, srebrny jak dzwonek śmiech Kseni, który do późnej nocy usnąć nam nie dawał.

Ściemniało i nic już więcej w liście Bolesława wyczytać nie mogłem. Pospieszyłem do



mego mieszkania, które na przeciwnym końcu osady się znajdowało.

— A więc Ksenia już nie żyje! — powtarzałem w myśli — ale jakież to drugie nie-

16

szczęście dotknęło Bolesława, o którem pisze?... Pewnie i dziecko mu umarło... albo może poczciwa matka Kseni?...

Zaświeciłem lampę i czytałem dalej:

»...a zaledwie wróciłem z pogrzebu, łez jeszcze otrzeć nie miałem czasu, gdy nadszedł list Józi ze straszną wiadomością i spieszyć musiałem do Mentony, aby Józię ztamtąd przywieźć. Okropnie los nas dotknął i prawie w jednym dniu owdowieliśmy oboje. Ja straciłem najpoczciwszą żonę, do której wiesz jak żywo byłem przywiązany, a biedna Józia straciła męża, do którego wprawdzie przywiązać się nie mogła, ale który samobójstwem swojem o mało ją zmysłów nie pozbawił. Gdyby nie ta opieka, którą ją otoczyłem, przyjechawszy do Mentony, nie wiem prawdziwie coby się z nią było stało. Nie jestem w stanie skreślić co przeszedłem. Sam rozpaczy blizki, musiałem taić przed nią śmierć jej ukochanej siostry, aby ją tą wiadomością nie dobić. Przypadkowo dopiero dowiedziała się w drodze — bo się niebacznie zdradziłem, ale wbrew przewidywaniu mojemu, okazała tyle męstwa i siły charakteru, jakich

nigdy w niej nie przypuszczałem. Zamiast oddać się rozpaczy, ona siostrzaną ręką starała się koić moje rany. Wiedziała, że od tego przymusu, który sobie zadawałem, rozkrwawiło się serce i że nad żalem moim już zapanować nie jestem w stanie. W miarę jakeśmy wracali do kraju, czem bliżej się czułem grobu Kseni, tem ciężej mi było i w końcu doszedłem do takiego roznerwowania, że w samej rzeczy można się było o mnie obawiać. Ale ten anioł prawdziwy, sam tak srodze dotknięty, zaopiekował się mną i broniąc mnie od rozpaczy, mówił mi ciągle o dzieciach moich... nieumiem nawet wyrazić, ile jej zawdzięczam! Zaopiekowała się dziećmi memi, a moja mała Ksenia kocha ją jak matkę.

»Zająłem się interesami, które, jak się łatwo domyślisz, Adolf zostawił w najokropniejszym stanie. Sprzedał był wioskę Józi, chcąc uzyskaną sumą oczyścić własny majątek, któremu groziła licytacya ze strony Banku, tymczasem Mentone pochłonęło cały kapitał. Po zlikwidowaniu interesów, okazuje się, że Józi prawie nic nie pozostało. Chcąc uratować co

można, musieliśmy z mamą pozaciągać znaczne długi, a na nieszczęście wuj Walenty zaangażował się także w niefortunne przedsiębiorstwo, które go postawiło nad brzegiem przepaści. Trzeba mu było dopomódz, a wskutek tych wszystkich wydatków, teraz u nas chuda fara i mimo znanej ci oszczędności mojej i godnej podziwu gospodarności Józi koniec z końcem się nie styka. Potrzeba będzie z pięć lat usilnej pracy i harowania, aby się z tego wydobyć i nieco wolniej odetchnąć. Tymczasem musimy skąpić obrzydliwie i odmawiać sobie nieraz nawet grosza na najniezbędniejsze potrzeby.

»Jedną z takich potrzeb jest kwartalna, dość znaczna opłata w zakładzie sanitarnym pod Wiedniem na koszta utrzymania Antosia... Obowiązek ten Adolfowie wzięli na siebie, a Józia przedewszystkiem pragnie go dopełniać i, jak powiada, dopełni, choćby miała iść gdzie w służbę, aby tyle zarobić, ile na utrzymanie jego potrzeba.

»Wydatek ten jednakowoż jest na naszą kieszeń obecnie bardzo uciążliwy. Pisałem więc do siostry Antosia, zamężnej jak wiesz

w Niemczech, czyby wydatku tego na siebie wziąć nie chciała, jakkolwiek stosunek jej do Antosia się rozluźnił. Nic mi na mój list nie odpowiedziała. Jedną więc jeszcze obmyśliłem radę — a tą jest: udać się do Ciebie. Wiem, że niegdyś chciałeś wziąć na twój koszt wyłączny całe utrzymanie Antosia. Wówczas Adolf nie dozwolił ci tego uczynić. Czy niechciałbyś obecnie pokrywać tych kosztów, przynajmniej częściowo?

»Wybacz, że tak obcesowo w tym interesie do Ciebie się udaję, wybacz mojej szczerości i natręctwu — ale wiele ten czyni, kto musi. Gdyby to szło o mnie, bądź pewny, żebym się nie zgłosił z tą prośbą, ale sądzę, że tobie idzie o ulgę dla biednego Antosia, któremu niegdyś tyle okazywałeś przyjaźni, mnie zaś idzie o Józię, która zobowiązania swego w każdym razie starałaby się dotrzymać, choćby największą nawet ofiarą, jeźli nikt inny Antosiem się nie zaopiekuje. Kobieta to rzadkich cnót i anielskiej dobroci, a kto ją bliżej pozna, czoła musi uchylić. Nie wiem cobym począł z dziećmi, gdyby jej w domu naszym zabrakło. Zmarnielibyśmy

bez niej wszyscy: dzieci moje i jej matka i ja straciłbym ostatni węzeł, który mnie z życiem wiąże. Byłeś w przyjaźni z ś. p. jej ojcem: wiem, że przez pamięć na niego, uczynisz to dla niej. Oczywiście, niech ona o tem nie wie, że do Ciebie z tą prośbą się udałem, bo byłoby jej przykro.

»Prawda, że Antoś w obecnym stanie jest już teraz bezduszną kłodą, i że nawet w razie, gdyby go z zakładu wydalono, nie uczułby może różnicy, ale wszak nie możesz się temu dziwić, iż Józia pragnie mu zapewnić do śmierci te wygody, jakie z jej łaski miał dotąd. Niema chyba na świecie szlachetniejszej od niej kobiety. Przez pamięć jej ojca, przyjdź jej w pomoc, jeźli możesz, choć częściowo. Jeźli to uczynisz, zobowiążesz do dozgonnej, serdecznej wdzięczności Twego — przywiązanego *Bolesława*«.

Na list ten odpowiedziałem bezzwłocznie:

»*Kochany Bolesławie!* — List Twój nie zastał mnie w domu, dlatego dziś dopiero nań odpowiadam z Abbazyi, dokąd mi go przysłano. — Boleśnie odczułem ciosy, które

spadły na waszą rodzinę, dla której zawsze serdeczną żywiłem przyjaźń. Oby przyszłość szczęśliwsza zagoiła rany serc waszych.

»Ś. p. Adolf opiekował się Antosiem z woli jego wuja. — Napróżno domagałem się od Adolfa, aby mnie tę opiekę pozostawił, jako przyjacielowi Antosia. Ze śmiercią Adolfa obecnie nic już temu nie stoi na przeszkodzie. W razie więc, gdyby pani Józefa chciała nadal dopełniać zobowiązań, powziętych przez męża w zakładzie leczniczym wiedeńskim, chciej jej oświadczyć, że ja do tej opieki sądzę mieć pierwsze prawo i nad potrzebami Antosia odtąd czuwać będę. W tych dniach wyjeżdżam z Abbazyi, w Wiedniu się zatrzymam i Antosia obaczę, a stosunki te ureguluję.

»Ucałuj ręce pani Józefowej i pani Józefie i przyjm zapewnienie szczerej przyjaźni. — *Twój* *M. P.*«

W tydzień może po wysłaniu tego listu, przybyłem do Wiednia. Udałem się bezzwłocznie do »zakładu zdrowia«, w którym się znajdował Antoś. W dyrekcyi za-

kładu oświadczono mi, że w tych dniach siostra Antosia przysłała znaczniejszą kwotę na jego potrzeby, a oraz zobowiązała się pokrywać wszelkie koszta, jakieby utrzymanie jego w pierwszej kategoryi chorych za sobą pociągnąć miało. Ofiara tedy, jaką chętnie ponieść chciałem, okazała się, wobec oświadczenia jego siostry, zbyteczną.

Zapytałem o Antosia. Powiedziano mi, że od lat dwóch przeszło nie objawia żadnych władz intellektualnych — leży na łóżku lub siedzi, gdy go posadzą, sztucznie musi być karmionym, sam pożywienia nie żąda i nie przyjmuje. Bywają dni, w których krzyk jakiś przeciągły, stłumiony wydobywa mu się z gardła, czasem jakieś słowo niewyraźne — oto wszystko co jeszcze świadczy o życiu. Od pewnego czasu zanik sił fizycznych i wszelkich funkcyi organicznych w przyspieszonem postępuje tempie. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie przeciągnie się to życie dłużej nad kilka miesięcy, rok najdłużej.

Pytałem, czy go mogę odwiedzić. Wprowadzono mnie do jego pokoju.

Pokój jasny, czysty, ciepły, wybornie od-

wietrzony. Na pierwszy rzut oka, przekonałem się, że biedny Antoś otoczony jest wszelkiemi wygodami i godną uznania pieczołowitością.

Siedział w dużem poręczowem krześle, w długim szlafroku; nogi miał podparte stołeczkiem. Ramiona z poręczy zwiesił bezwładnie, głowę przechylił naprzód, brodę opierając na piersi, w ziemię patrzył bezdusznie. Nie spostrzegł mojego wejścia, czy nie zwrócił uwagi.



Pochwyciłem go za ręce, ściskając je w mych dłoniach i przechyliłem się w taki sposób, aby twarze znalazły się wprost naprzeciw siebie, a on koniecznie na mnie patrzeć musiał.

Patrzał — nie widział.

— Antosiu! — wołałem — czy poznajesz

mnie? — i wstrząsałem przytem energicznie oba jego ramiona, jakbym chciał zelektryzować i obudzić.

Cała ta wątła, wychudła postać mego Antosia chwiała się od tych wstrząśnień w poręczowem krześle, a ta trupia jego, ohydnie oszpecona głowa, oparta brodą na piersi, chyliła się to w tę, to w ową stronę, jak głowa zepsutej lalki lub pajaca. I więcej nic. Żadnego oznaku życia.

Ach, jakiż to żałosny był widok!

— Czy niczem oprzytomnieć go nie można? — zapytałem dozorcy, który miał nad nim opiekę.

— Czasem — rzekł — niezwykłość jakiegoś wrażenia na chwilę go ocuci; ruch przymusowy, który kilkakrotnie bez udziału jego woli wykona się jego członkami, użycie prądu elektrycznego, ból fizyczny, albo nagłe wrażenie zimna lub gorąca... Tukiedyś mieliśmy wypadek: nie spostrzegliśmy, że knot zdmuchniętej lampy naftowej tli się w wnętrzu bani i nastąpiła eksplozya, płomień buchnął gwałtowny i rozbryzganych kilka kropel płonącej nafty padło mu na rękę i na odzienie. Uga-

siliśmy zaraz i nie stało się żadne nieszczęście, ale wtedy zauważyłem niezwykłe obudzenie się jego przytomności. Krzyknął i przydusił nawet ramieniem płonącą na szlafroku plamę.

— I długo trwało to oprzytomnienie?

— Może z pół minuty. Przekonałem się potem, że zawsze blask nagły w ciemności zwraca jego uwagę i przyprowadza na chwilkę do świadomości.

— A niezwykły dźwięk jakiś, krzyk, muzyka?

— Wątpię. A nawet on mało co słyszy. Ślepnie i głuchnie. Na lewe ucho, jak się zdaje, ogłuchł zupełnie. Zresztą niech pan spróbuje.

Przyłożyłem usta do prawego jego ucha i krzyknąłem na cały głos moje nazwisko. Antoś nie dał najmniejszej oznaki, że słyszy.

— Czy pan koniecznie pragnie, aby pana poznał? — zapytał dozorca.

— Pragnąłbym tego.

— Wszakże on rozmawiać z panem nie będzie, na cóż więc to się przyda?

Uwaga była słuszną.

— Nie wiem na co — odrzekłem z westchnieniem, — alebym pragnął.

Zadumałem się. I sam nie wiem czemu, ale pragnąłem gorąco jednego błysku przytomności, jednego spojrzenia, jednego uścisku ręki przed rozstaniem na zawsze.

Przyszła mi do głowy nowa próba.

— Czy w apteczce zakładu macie amoniak? — zapytałem.

— Oczywiście. Czy chcesz mu pan dać powąchać? Dobrze, spróbujemy. Zaraz przyniosę.

I wyszedł.

Rozglądałem się po pokoju. Na szafce stała duża mosiężna miednica, która mi przypomniała podobną, widzianą niegdyś u Antosia w Krakowie. Przypomniałem sobie studencki jego koncept użycia tej miednicy na przedstawieniu amatorskiem jako chińskiego *tamtamu* w scenie wywoływania duchów. Uderzona pałeczką, wydawała ona w samej rzeczy dźwięk dziwnie przejmujący, do uderzenia dzwonu podobny, od którego umarły mógłby się obudzić.

Niemiec wrócił z flaszeczką amoniaku. Wyłuszczyłem mu mój plan.

— Dobrze — powiedział — spróbujmy. To mu nie zaszkodzi.

Przechyliłem w tył głowę Antosia i zatykając mu usta chustką, podsunąłem jednocześnie pod nos otwartą flaszeczkę.

Zmuszony w ten sposób do wciągnięcia powietrza nosem, odetchnął Antoś ostrą i trzeźwiącą wonią, a w tejże samej chwili Niemiec uderzył nad jego głową w improwizowany *tamtam*.

Drgnął.

Z jego twarzy, spojrzenia, ruchu muszkułów, widne było, że się ocknął. Wzrok utkwił we mnie z wyrazem zdziwienia i zdawało mi się, że mnie poznał.

— Poznajesz mnie?. — wrzasnąłem mu do ucha.

Głowę przechylił w dół ruchem potakującym na piersi, poruszył ustami, ręką zrobił gest jakiś, który mógł oznaczać: »Wszystko przepadło marnie!« albo »co za nieszczęście!« lub coś podobnego.

Co ja mu powiem? jaką mu dam pociechę, jak wiatyk na wieczność? gdybyż można choć chwilkę dać mu jeszcze szczęścia! — Takie myśli jak błyskami przemknęły mi przez głowę.

— Józia cię kocha! — wrzasnąłem mu w ucho.

Podniósł nieco głowę, spojrzał na mnie sennem okiem, którego blask, chwilowo rozpalony, gasł, jak dogasająca iskra.

Poruszyły się jego wargi, jakby usiłował przemówić.

Otworzył wreszcie usta i wydobyło się z nich jedno, jedyne słowo, okrzyk, strasznym, przeciągłym, jakby podziemnym, z głębi grobu wydanym głosem, jedno słowo, mnie samemu tylko zrozumiałe:

— Baczmaaaa...ha...

To był ostatni wyraz, jaki z ust jego usłyszałem. Długo brzmiał mi w uszach. Dziś jeszcze go słyszę, gdy wspomnę na ową chwilę.

Od tego dnia nie widziałem już Antosia. Rok minął.

Słyszałem, że jeszcze żyje.

Nie wiem na pewno.

Może się dowiem od Bolesława, od którego dziś otrzymałem zaproszenie — na ślub.

